

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 25 (38)

WARSZAWA

SOBOTA

23-VI-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ADOLF
DYGASIŃSKI

O POCAŁUNEK

TREŚĆ:

ADOLF DYGASIŃSKI
O POCAŁUNEK
K. CZACHOWSKI
O ADOLFIE
DYGASIŃSKIM
Z POWODU NOWEGO
WYDANIA „BELDONKA”
DYGASIŃSKI
WŚRÓD LUDU
I MŁODZIEŻY
ADOLF DYGASIŃSKI
O ŻYCIU
I LITERATURZE
Z LISTÓW
DO CÓRKI
WŁADYSŁAW WOLERT
WYPRAWA DO
BRAZYLII
JAN MUSZKOWSKI
Z KORESPONDENCJI
ADOLFA
DYGASIŃSKIEGO
ZOFJA WOLERTOWA
TEKA
POŚMIERTNA
DYGASIŃSKIEGO
NA ŁAMACH PRASY
RECENZJE
SPRAWOZDANIA
NOTATKI KRONIKA



ADOLF DYGASIŃSKI

Nowela „O pocałunek” Adolfa Dygasińskiego nie była dotychczas nigdzie drukowana. Oddana przez autora do redakcji „Wędrowca”, najprawdopodobniej między 1892—1897, z bliżej niewiadomych powodów zaginęła. Świadczy o tem i notka, zrobiona ręką A. D. w pušcie nie rękopiśmiennej: „przepadła w Wędrowcu”. Po latach rękopis tej noweli znalazł się przypadkowo w papierach rodzinnych p. Z. Rusczykowskiej, która wręczyła mi go łaskawie w dn. 5 stycznia r. b., za co składam jej uprzejme podziękowanie.

W związku z tą nowelą, która porusza kwestję „strachów”, warto zwrócić uwagę na pewną zbieżność dat. W roku 1891 zmarła słynna teozofka rosyjska H. Blawatska. W r. 1892 „Revue politique et litteraire” zamieścił wiadomość o podziale popiołów Bławatskiej na trzy części. Dało to asumpt Ign. Radlińskiemu do napisania studjum p. t. Mundus vult decipi... Wogóle sprawa „strachów” była w onczas aktualna.

Zofja Wolertowa.

Miał lat najwyżej dwadzieścia pięć. Chodził po wsi obdarty, bosi, bez czapki, uśmiechał się glupkowato i ciągle sam ze sobą coś rozmawiał albo przed ludźmi wygadywał takie rzeczy, aż się wszystkim dziwnie robiło. Nazywał się Wicek Kręcioch. Ludzie powiadali, że w młodości gryzł szaleń, dederewę i dlatego rozum jego nie doszedł, nie był taki, jak rozum innych parobków w Chylicach. Niech się tylko na drodze pokazał, zaraz pędziła zewsząd ciżba dzieci, żeby nań patrzeć, słuchać, co Wicek mówi. I starsi postawali, — „niby, że nie taki człowiek, jak inni”. To im opowiadał czasem o mękach grzeszników w piekle, albo znowu mówił, jak to będzie w dzień sądu ostatecznego. „Głupi on, nie głupi — odzywały się baby — ale tak dokumentnie gada, jakby człowiek na to wszystko własnymi oczyma patrzył... Skądże, ty, Wicek, wiesz o takich rzeczach?” — pytano go nieraz. On wcale na pytania nie odpowiadał i gdy jedno skończył, drugie zaczynał.

Można go było spotkać i w lesie, i w polu, i na łąkach, nawet na cmentarzu — wszędzie się wałęsał. Znany na całą okolicę dziad Czop ze Sokoliny dowodził, że

Wicek wcale nie jest głupi, tylko głupiego udaje, bo mu się nie chce robić.

„Drugiemu lepiej na świecie, kiedy rozum zgubi, albo udaje, że nie ma rozumu”.

Dziś w jednej, jutro w drugiej chałupie Wicek mógł się zawsze pożywić, bo „skoro nie ma w głowie rozumu, to większy kaleka, niż bezzęski, czy beznogi”.

Ale Kręcioch najczęściej zachodził do chaty Majchra Grzybienia, bogatego gospodarza, gdzie dostawał zawsze kawałek chleba, miskę żuru, czy mleka kwaśnego, czy co tam wypadło. Grzybień był wdowcem, gospodarstwo w domu prowadziła mu córka Agata, jedynaczka, dziewczyna, jak róża. Ona tam trzęsła wszystkim. Nieraz latem siadła przed chatą na progu, obierała kartofle, albo szyła, a Kręcioch jej ciągle opowiadał. Tylko z nią jedną ten głupi mówił czasem po ludzku, tak jakby miał zupełnie dobry rozum. Lubila go Grzybienówna, bo ją nieraz i rozerwał i w robocie pomógł: wody przyniósł, pokrzywił siekał dla prosiąt, z pola często przydzwigał za nią plachtę chwastu dla krów, — jak swój był przy domu.

Jednego dnia, według zwyczaju, przyszedł do chałupy Grzybienia. Agata dała mu jeść, co było; on zaś, zjadłszy, w te słowa się odzywa:

— Chcę ci, Agato, już oddawna jedną rzecz powiedzieć i nie śmiem...

— No, cóż takiego? — zapytuje dziewczyna.

— Kiedy na żaden sposób nie śmiem, przez gardło mi nie przejdzie...

— Ośmielże się, głupi, gadaj! — nacięra nań Agata, bardzo zaciekawiona.

— E, bo może się na mnie rozgniewasz?...

— Gdzie się zaś mam gniewać, mówże!

Dopiero on się ośmielił i powiada, że kiedy na nią patrzy, to się z nim aż coś dziwnego dzieje, taką ma oskomę, ażeby ją pocałować w usta.

— Kiedy tak, to niechże ci się odechce! — zawolala dziewczucha ze złością, bo nie myślała, żeby ten głupi obdarty miał w sobie tyle śmiałości.

A Wicek idzie do niej, składa ręce, jakby do świętego obrazu i powiada:

— Mojaś ty, Agato, nikt na świecie nie będzie wiedział... Ja się mogę potem utopić albo powiesić...

I wyciągnął do dziewczyny teraz obie ręce. Tego już było zanadto. Agata chwyciła w rękę miotłę, zaczęła nią Wicka okładać, a ten stał i nic nie mówił. Rzuciła miotłę, nabrała z cebra pełny garnek wody, lunęła mu na głowę, a on stał i nic nie mówił. Aż zbrzydła teraz ze złości, widząc, że głupi nie ustępuje. Chwyciła pogrzebac i palnęła nim Kręciocha, który ani drgnął, tylko spokojnie teraz rzekł:

— Bij lepiej, bo mnie to od ciebie nie boli! Mojaś ty, bij lepiej!...

Zamierzyła się jeszcze drugi raz, ale sama nie wiedziała, dlaczego jej ręka opadła, choć złość miała wielką w duszy.

Stał tak Wicek, woda ciekła mu po twarzy czarnej jak ziemia, sączyła się z jego brudnych łachmanów, a naprzeciwko niego — Agata w czystym, bielutkim przyodziewku, w kolorach na szyi, ponosym gorsecie, z zaognionymi policzkami i roziskrzonymi oczyma. Wszedł na to do

izby stary Grzybień, spojrzal na córkę, na głupiego, spytał krótko: — „Co to ma znaczyć?”

Dopiero dziewczyna zaczyna opowiadać, że temu lada-co zachciewa się Bóg wie czego, i że ona go już w chałupie nie chce na oczy widzieć. Ze starym nie było żartów, krzepko wziął za kark głupiego i wyrzucił z izby z takim rozmachem, że Wicek padł na ziemię jak długi i krew siurczkiem popłynęła mu z nosa. Ale wstał i jakby nigdy nie poszedł przez wieś, uśmiechając się i rozmawiając sam ze sobą.

Istotnie, trudno pojąć, że ten człowiek, gorzej niż żebrak, miał śmiałość żądać od Agaty, aby zezwoliła na pocałunek. Ona, nietylko najpiękniejsza w całej wsi, ale i najbogatsza, przebierała w zalotnikach jak w ulęgalkach.

Chociaż mu stary Grzybień dał taką odprawę, on jednak nazajutrz wałęsał się koło chałupy, zaczepił Agatę, zapytując, czyby nie chciała, aby wody nanosił, pokrzyw i chwastu nabierał. Odpowiedziała mu, żeby się strzegł, bo tatuś jest w domu i przygotował sobie dobry postronek... Poszedł na wieś, znowu wrócił, znowu spotkał dziewczynę, prosi, żeby mu pozwoliła przychodzić do chaty, jak dawniej. Gdy ją tak zaczepił jeszcze parę razy, poskarżyła się ojcu. Stary wpadł w gniew i przy pierwszej sposobności strasznie skatował głupiego Wicka, a ile razy go spostrzegł, zaciskał pięści, zdaleka mu niemi grożąc: — „Wara ci od mojej chałupy, sobako!” — Wicek i tak, choć z za plotu, z za drzewa, lub z za węgla musiał codziennie widzieć Agatę. Nieraz w święto strojna i piękna Grzybienówna szła do kościoła, witała się po drodze z parobkami, pięknie ubranymi, rozmawiała, chichotała z nimi, a Wicek, brudny, obszarpany, bez czapki nawet, niby do siebie tylko mówił, spoglądał jednak za dziewczyną.

Poszedł raz do karczmy i słyszał, jak organistów namawiała soltysa i tłumaczyła mu, że syn jego, Franek, powinien się ożenić z Agatą Grzybienówną. Soltys nie był od tego, prosił organistów na swatkę, a słodką wódkę precz jej stawiał. W dwie godziny potem, stał Kręcioch na gościńcu i, rozmawiając ze sobą samym, przyglądał się strachowi na wróble, postawionemu w chłopskim jęczmieniu. Był to wielki strach, podobny do Wicka, gdyby nie czarny kapelusz z dużym rondem; ej, na tym strachu i kapota o wiele lepsza. Zmierzczył się, a głupi ciągle tam jeszcze czegoś wystawał. Nareszcie, bacznie popatrzył na wszystkie strony, w kilkunastu susach przebiegł kawałek półka z jęczmieniem, pochwycił oburącz stracha i w całym pędzie uniósł go na cmentarz, znajdujący się tuż przy drodze.

Może na jaką godzinę przed północą, od strony cmentarza, poprzez pola i poza chłopskimi stodołami szło jakieś straszliwe widmo: na głowie miało czarny kapelusz, szerokie strzępy łachmanów powiewały jakby skrzydła, a w prawej ręce sterczała żerdź ogromna. Psy we wsi musiały coś poczuć, gdyż najprzód szczeły zapalczywie, a później chórem zawyły. Kiedy widmo przybyło pod stodołę Grzybienia, ostrożnie przelazło przez płot na podwórko. Stróżujący pies zachnął się zrazu, jednakże wnet widać poczul znajomego, gdyż zaraz przestał szczełać i po przyjacielsku

merdał ogonem. Straszna postać zaczęła się teraz skradać do okien, w których, mimo późnej pory, jaśniało jeszcze światło. W izbie na jednym końcu stołu znajdowała się faszka gorzałki, leżał bochen chleba i spory kawał kielbasy; widmo się oblizowało. Grzybień i organista, dobrze zacierwienieni, rozprawiali o czemś, a jeden drugiemu to kładł rękę na ramieniu, to grubo paluch wystawiał naprzód, jak gdyby chciał przebić piersi swego towarzysza. Blisko od nich siedziała na ławie organistka w czepcu, objęła w pół Agatę, przytuliła ją do siebie i co chwila całowała; widmo znowu się lakomie oblizowało. Już się podnieśli, organistka i organista ledwie na nogach stojąc; ale na pożegnanie — jeszcze po kubku gorzałki. Widmo chyłkiem pod oknami przemknęło, wypadło na drogę, pędzi, zwija się; jakiś pies mu zastąpił drogę i musiał dobrze żerdzią oberwać, bo z żalonym skowitem zmykał na swoje śmiecie. Pomiędzy wsią a kościołem, niedaleko od którego stoi domek organisty, na przestrzeni jakichś trzystu kroków, ciągnie się droga samotna i pusta. Na lewo ma się ciotny park, oddzielony od drogi ostrokołem; na prawo — szereg dziwnie powykrzywianych i pogarbionych, wypróchniałych starych wierzb. Te wierzby przedziela od sawatatego błonia ogromny rów, gdzie na różne głosy od zmiernych do białego dnia miliony żab hałasują przez całe lato. Jak Chylicy Chylicami zawsze w tym miejscu zle ludzom przeskądzało. Straszły i po innych miejscach, ale tam i na cmentarzu — najgorzej. Nazywała się ta cała okolica Piskorce. Widmo przystanąło na Piskorcach, wzięło ze swojej żerdzi na wierzbę pochyloną, tworzącą niby łuk ponad drogą, i czekało. Wnet też dał się słyszeć na drodze chrząplawy głos organisty:

— Matka, gdzież ty?... A cóż tak uciekasz?... Stójże!

Organistka biegła przodem i zataczała się, w czepcu na bakier, a chustkę miała tylko na jednym ramieniu. Kiedy przybyła pod krzywą wierzbę, zachwiała się na nogach i przystanąła. Pchnięcie żerdzi z góry wystarczyło, ażeby pijana baba padła. Strach zeskoczył natychmiast, wziął garść błota z piaskiem, zapchał kobiecie usta, potem chwycił ją w pół i przerzucił przez ostrokoł do parku.

— Fiu, fiu!... Jakie ona ma... nogi!... Czekałże stara! — wołał organista.

Widmo przebiegło drogę, stanęło za wierzbą i, kiedy organista nadchodził, wystawiło naprzeciw niego żerdź, zastawiając mu drogę.

— Oho!... Płot... — zawołał pijany, natrafiwszy na żerdź. — Skąd się wziął płot?... A no, trzeba przeleść... W tym miejscu płot — oho!

I chciał przez żerdź przeleść; ale strach podwyższył zagrodę. Organista chciał więc podleść; ale żerdź się znowu obniżyła, co już sługę kościelnego zaczęło drażnić. Odsadził się parę kroków i, wystawiając przed siebie obie ręce, jak gdyby chciał odepchnąć fatalną zaporę, rzucił się z rozmachem naprzód, że aż nosem zarył w błocie.

— Fiu, fiu!... Jakie ta moja stara ma... nogi!... Przelazła przez płot... a ja, widzę, leżę... Szczęście, że żaba o płot... nie rozbiła!

Chciał się dźwignąć; ale go widmo końcem żerdzi cisnęło do ziemi. Szamotał się przez chwilę, wreszcie wymógł tylko: „Fiu, fiu!... Stara... ma... i, zmęczony bezskuteczną walką, zasnął. — Teraz strach zdjął z organisty kapotę, związał mu wierzbową wicią ręce i nogi, zaciągnął pod wierzbę, a wzięwszy jeszcze czapkę, która spadła pijanemu z głowy, gdy zamierzał płot przeskoczyć, opuścił co żywo Piskorce.

Nazajutrz w Chylicach był ogromny alarm. Organistkę znalazł w parku ogrodniczek: miała podarty czepiec, twarz podrapaną, a w ustach pełno błota i piasku. Później zaklinała się, że to nie było błoto z piaskiem, tylko piekielna smoła z siarką. Związanego organistę bez surduta i bez czapki znalazł znowu parobek plebański. Ale ze wszystkiego najciekawsze było to, że gospodarz Mateusz Bielak postawił sobie kiedyś stracha na wróble w jęczmień i teraz oto rano znalazł tam zupełnie innego stracha, bo nadzwyczajnie podobnego do organisty: wszyscy od razu poznali w

jęczmień surdut i czapkę organisty. Nie było przecie z czego żartować, więc też nikt nie żartował; zebraли się tylko ludzie do karczmy w dużej gromadzie, a organista i organistka musieli wszystko od a do z opowiadać. Rzecz prosta, że opowiadali zupełnie inną historję, może jeszcze straszniejszą od rzeczywistej, wcale nie nadmieniając o upiciu się swoim. Wystąpiła na stół bardzo poważna kwestja, mianowicie, czy organista ma nadal nosić surdut, tykany przez złego. Ludzie tak nadzwyczajnie współczuli z tem małżeństwem, srodze sporniewieranem przez złego, że i organista i organistka upili się dzisiaj jeszcze lepiej, niż wczoraj. Zeby zaś znowu nie było jakiego nieszczęścia, odprowadziła ich do domu cała gromada chłopów, uzbrojonych w widły, drągi i kłonicę.

Strachy strachami, a życie życiem i ludzie muszą żenić się, rodzić, umierać. Gdy już raz szczęśliwie organistka zaswatała soltysia z Grzybienią, nastąpiło w ślad zatem zbliżenie się dwóch domów: soltys raczył Grzybienia, a Grzybień — soltysa, w czem nie miały też udziału organista i organistka, stale już teraz opowiadający raz po raz straszną swoją przygodę na Piskorcach. Soltys i Grzybień ułożyli pomiędzy sobą, że, kiedy się ich dzieci już pobiorą, wtedy oni, ojcowie, wspólnym kosztem wystawią na Piskorcach figurę jakiegoś świętka.

Zarówno wypadek na Piskorcach, jak zamierzone małżeństwo Franka soltysia z Agatą Grzybienią gruchnęły po wsi i jaki taki gospodarz nie gospodarz w Chylicach poczuwał w sobie teraz większą chęć odwiedzenia karczmy. Tę chęć podwyższała jeszcze okoliczność, że karczmarz ostatnimi czasy dorzynał chorą krowę i, jeżeli już nie kupić, to przynajmniej popatrzyć można było na mięso bydlęce. Karczmarz miał wyborny obyt, targował dużo; ale i tak kłął strasznie, twierdząc, iż w tem zbiegowisku ludu ktoś mu skradł ogon i rogi dorzniętej krowy.

W tych czasach można było widzieć Wicka Kręciocha walającego się po polach między zbożami. Siadł oto na miedzy w miejscu odludnym, wyjął z zanadru dwa krowie rogi, obciął je kozikiem od nasady tak, że zostały tylko rożki, jakie się widuje u bydła w młodszym wieku. Dokonałszy tego dzieła, głupi poczył pracować strugać kozikiem kawałek drzewa gruszkowego, usiłując mu nadać kształt siodełka, które on co chwila przymierzał do swojej czaszki. W tem siodełku wywiercił potem dwie dziury, osadził w nich szelnie rożki, uczernił to sadzami i przymierzył sobie do głowy: siodełko wyborne przylegało. Teraz znowu z zanadru wydobyl dosyć długi krowi ogon i jakiś stary powróż, do którego ogon przymocował. Zdjął z siebie kapotę i przez tylny otwór wydobyl na wierzch ogon. Wytarł sobie twarz sadzami, włożył siodełko z rogami na głowę, przymocował je szmatą, zawiązał zawsze pod brodą, i pobiegł w susach do źródła, będącego o jakie trzydzieści kroków. Tutaj przeglądał się przez chwilę jak w zwierciadle, i musiał być z siebie zadowolony, gdyż na głupkowatych jego ustach pojawił się złośliwy, prawdziwie szatański uśmiech. Nareszcie porwał się od źródła i, włożywszy jedną rękę pod kapotę, merdał nią ogonem na wszystkie strony, a przytem podskakiwał, pisał po miedzy, wykrzykując, piszcząc, poświstując. Każdyby go niezawodnie, nawet w jasny dzień, wziął za szatana.

Nazajutrz był jarmark w Nowem Mieście Korczynie, jarmark ogromnie ważny, bo przed samymi żniwami. Śmiało można powiedzieć, że połowa mieszkańców Chylic wyległa na ten jarmark. Pojechali i soltys z soltyską i stary Grzybień, który zowiązał się był nawet publicznie w karczmie, że na tym jarmarku sprawi organistce bardzo paradny czepiec wzamian za tamten, co go jej zły potargał na Piskorcach.

O zmroku Kręcioch zakradł się do Grzybieniowej stodoły i z zapola wyglądał przez szparę, gdyż mu się koniecznie chciało zobaczyć Agatę. Niedługo czekał, dziewczyna wyszła, niosąc przybory potrzebne do dojenia krow, za nią szedł pies czarny i kot. „Kaźde stworzenie kocha tę dziewczuchę” — pomyślał Wicek i, chociaż w mroku zaledwie tylko jej postać widział, postanowił czekać w stodole, póki Agata nie wróci od krow do chaty... „Jeszcze,

jeszcze, żeby się w oczach przynajmniej mignęła!”

Organistka była bardzo ciekawa, co też za czepiec przywiezie jej Grzybień z miasta; więc jakkolwiek na Piskorcach straszły, wybrała się z odwiedzinami niby to do Agaty, a właściwie chciała się w chacie doczekać powrotu Grzybienia i doręczenia sobie przyobiecane gościńca. Przewidywała ona, że podarunek będzie bardzo piękny, gdyż ojciec Agaty ciągle ją całował po obu rękach, a ile razy się upił, szeptał jej do ucha: „Szkoła, że pani nie jesteś wdowa, byłaby z nas śliczna parka!”

Wicek spostrzegł ze swojego posterunku w stodole, że swatka przyszła, i złość go zdjęła. Znał dobrze zwyczaj w domu, wieział, iż Agata, mając sześć krow do doju, drzwi izby na klucz zamyka. Głupi on był, ale się prędko namyślił i przydział wszystko to, co go przeobraziło w diabła. Organistka stanęła na progu chaty, rozważając, gdzie o tej porze może być Agata, kiedy ni stąd ni zowąd spostrzegła przed sobą postać rogatą i merdającą wstrętnie ogonem. Kobieta ze zgrozą i przerażeniem cofnęła się w głąb sieni, ale zły, przykucnąwszy, wyraźnie szedł do niej z wyszczerzonymi białymi zębami i z ogonem tak wysoko zadartym, iż kiść górowała ponad rogami. Swatka dotarła do drabiny, prowadzącej na strych, i w obawie, aby szatan nie dopadł jej z tyłu, przebiegła szczeble przedniej, niż się to da opowiedzieć. Zły jednakże zjawił się na strychu: wyraźnie słycać było, jak macał, deptał, rozgrzebywał słomę. Organistka zadrżała na myśl, iż wkrótce duch ciemności chwyci ją w swoje objęcia. Naraz spostrzegła w jednym miejscu brak snopka w strzesze i rzuca się tam, jakby do deski zbawienia. Wspięła się, wsunęła głowę, za chwilę była już na strzesze. Strach dodaje siły, a co dziwniejsza, wytwarza pewien gatunek odwagi w swoim rodzaju. — Zadudniła ziemią i na podwórku dał się słyszeć głos Grzybienia, który powrócił z jarmarku. Właśnie też i Agata ukończyła dojenie krow, powitała ojca, poczem oboje weszli do izby.

Kiedy nieszczęśliwa organistka ochłonęła z nadzwyczajnego przestachu, zaczęła myśleć o sposobie zejścia nadół, tem bardziej, że, siedząc na strzesze, widziała wyraźnie jak zły, jej prześladowca, prawie równocześnie z wjazdem Grzybienia na podwórko, przeskoczył płot około stodoły i przez chłopskie zboża popędził ku cmentarzowi. Ale cóż, kiedy teraz w żaden sposób nie mogła ona znaleźć owego otworu, przez który dostała się na strzechę. Łażenie też po dosyć śliskiej pochylności nie było wygodne dla kobiety, ubranej w długą spódnicę. Nie wiedząc, co począć, usiadła na strzesze i poczęła głośno chrząkać, kasłać w nadziei, że ją ktoś nareszcie posłyszysz i ocali. Jakoż głosy te usłyszała baba jakaś, wracająca z jarmarku, ale ta spostrzegłszy inną babę, siedzącą na strzesze, przeżegnała się tylko i pośpiesznie uchodziła. Inni ludzie przechodzili obojętnie i nie zwracali uwagi ani na chrząkanie ani na kaszel. Dopiero kiedy sam Grzybień wyszedł do stajenki, aby opatrzyć konie na noc i zamknąć, usłyszał na strzesze to kaszel, to chrząkanie. Ale stary nie dowierzał swoim uszom, wiedząc, że nieźle pił na jarmarku, a w takich razach może się człowiekowi niejedno zdawać, przywidywać. Wraca on przeto do chaty i mówi do córki:

— Popatrz no na strzechę, tak mi się widzi, jakby tam co siedziało.

Agata nie była zbyt posłuszną córką, a nad ojcem lubiła przewodzić, mruknęła więc coś pod nosem o takich, którzy pieniądze na jarmarkach przepijają, a potem w chalupe gadają od rzeczy. Nareszcie wyszła i zaczęła się rozglądać po strzesze. Już teraz organistka łatwo się mogła porozumieć. Grzybień przystawił jej drabinę i zesłał. Jednakże ani Agacie, ani staremu nie mogło się w głowie pomicieć to wszystko, co im swatka opowiadała. Przedewszystkiem obecność diabła w chalupe była nadzwyczajną zagadką, a następnie pobyt organistki na strzesze. Czepiec wprawdzie otrzymała w podarunku, ale Grzybień, chociaż miał w czubie, ani ją w rękę nie pocałował, ani na ucho nic nie poszepnął. I dopiero w karczmie znalazła sobie takiego śmiałka, który ją przez Piskorce do domu odprowadził. Wicek, narobiwszy strachu organistce, uszedł chyłkiem na cmentarz, a stamtąd wypadł na gościniec, przycupnął w

rowie i czekał; spodziewał się bowiem, że wkrótce nadjedzie soltys z jarmarku. Ale soltysa powszechnie znano z tego, iż, gdy się rozbijał, barłozyl późno w noc, zwłaszcza gdy miał ze sobą żonę i przeto nie miał potrzeby się śpieszyć z obawy jej gniewu.

Na tym jarmarku poszło soltysowi bardzo dobrze: kupił tanią dużą samorę, a sprzedał drogo starą krowę; soltyska też za ją nabrała pieniędzy, jak lodu. Pili oboje i wódkę, i piwo, i miód; oni częstowali i ich częstowano. Soltyska zaraz usnęła na wozie, soltys trzymał w zębach fajkę i kipiał, kucąc się od czasu do czasu i nawołując konie: „Wio maly! Wio hura!” Niewiele już brakowało do północy, kiedy dojeżdżali do Chylic, a szkapy rwały zwawo, gdyż zwały bliskość domu. Wtem z rowu wyskakuje jakieś straszdyło, rozczapierzonemi rękoma macha, jak skrzydłami wiatraka, i dziwny pisk wydaje. Zanim się spostrzegł rozdrzemany soltys, mały i bura w nadzwyczajnym strachu już rwały na bok do przeciwległego rowu. Straszny rwetes! Wóz się przewalił w sposób niezwykły: na samo dno rowu padła soltyska, na niej wpoprzek leżała samora, kwicząc przeraźliwie, na samorze już nie leżał, lecz siedział soltys, mający na głowie wiązkę grochowin i mnóstwo skorup z potluczonych garków. Wszystko to nakrył głęboki wóz półtoraczny, przewrócony do góry kołami. Konie złamawszy dyszel, przeszły na drugą stronę rowu, gdzie najobojętniej w świetle chrupały chwast jakiś. Teraz oznaki życia i wolanie o ratunek wychodziły tylko od samory. Nadjechała pełna fura mieszczan z Koszyc, którzy wydzwignęli dopiero wóz z rowu, wyciągnęli na drogę soltysa, samorę i nawpół żywą soltyskę.

Po tym wypadku, nikt już nie wątpił, że w Chylicach są strachy nadzwyczajne, że chyba sam Lucyfer, król piekiel, obrał sobie tę miejscowość za stolicę. Ludzie zestawiali te nowej daty zdarzenia z różnemi innymi, zapamiętanymi z przeszłości i w tem wszystkim widzieli zadziwiający związek, działanie jednej i tej samej nadprzyrodzonej siły. Chylicy miały teraz tyle strachów, że możnaby było niemi obdzielić całą Europę i nie byłoby za mało. Straszły w pałacu, a podług bardzo wiarogodnych świadectw strach pałacowy był płci męskiej. Zaraz niedaleko od pałacu, bo w ogrodzie straszły znowu nadzwyczajnie strach żeński. Zdaje się, że między tą parą strachów nie zachodziła żadna łączność, ponieważ stracha męskiego widywano oddzielnie panna garderobiana z pałacu, a żeńskiego — ogrodnik. Straszły na plebanji, na folwarku u rządcy, ekonomy i pisarza prowentowego, w karczmie, w kilkunastu chałupach na wsi, nie mówiąc już o Piskorcach i cmentarzu. Każde mniej zwykłe zdarzenie podciągano pod kategorię „psoty złego”. Jeżeli baba spostrzegła wieczorem pod chałupą czarnego kota, albo nastąpiła przypadkiem na żabę, zaraz nazajutrz opowiadała swoim kumom, jaką to strasznie złośliwą fiziozjomie miał ów kot, lub owa żaba: „Pewniakiem myślał, żeby ludzium zrobić psotę”. — Pisarz prowentowy wrócił raz skądś późno w nocy i zaraz się położył; kiedy go karbowy przyszedł rano budzić, pisarz leżał nie na łóżku, lecz na ziemi, okrutnie sponiewierany, z twarzą podrapaną i pełną sińców: „Juści nic innego, tylko zły psocił!”

Karczmarze zdawało się raz, że spotkała na drodze kózka; przyjrzała się lepiej, a to był pies; ale za chwilę zaczęło w tem miejscu beczeć cięle. Organista przysięgał się na wszystko, że kiedy raz wrócił do domu z karczmy i położył się spać, wyraźnie słyszał, jak coś podszadzało się plecami pod węgł domu; potem wzięło i przewróciło cały dom tak, że co było podłogą, zrobiło się powalą. Jednego dnia wieczorem wpadła do karczmy zziębiona i nadzwyczajnie przerażona żebraczka i opowiadała ludziom, że w krzakach, będących przy ścieżce od pola, strasznie coś ryczy. Któryś z chłopów powiedział, że „trzeba raz z tem skończyć” i wszyscy, jak byli, porwali kije, drągi, cepy — poszli. Po drodze, kilku mniej odważnych zginęło, ale dziesięciu najmniejszych poszło. Rzeczywiście, już za wsią, zaledwie daliścieżkę, posłyszeli jakby odgłos dalekiego grzmotu, który się potęgował w miarę bliskości krzaków. Dzielną hufiec rażno poskoczył, gdy naraz idący przodem potknął się o jakiś przedmiot i padł jak długi, za nim gruchnął grzmot, trzeci z rzędu sądził, że to jakaś zasadzka, sunął w bok i zmykał, a za nim reszta. Tymczasem dwaj ludzie, którzy upadli, wnet się przekonali, że nie z żad-

Posiadanie krzyżaczki oszczędnościowej P.K.O. umożliwi odpoczynek po trudach całorocznej pracy.

nym strachem mają do czynienia. Organista z Chylic poszedł był odwiedzić kolegę w sąsiedniej parafii, uraczył się tam dobrze i na drodze postanowił sobie odpocząć; atoli zasnął w krzakach, a że słownie chrapał, stąd alarm i przestrasz.

Innym razem chłop z Przemysłowa przejeżdżał w nocy drogą koło cmentarza i spostrzegł tam jakąś białą postać, która się straszliwie rzucała, brzęcząc jakby łańcuchami. Dano znać panu pisarzowi i ten z pistoletem w ręku, zabrawszy kilku parobków, poszedł na cmentarz. Pokazało się, że strachem był biały koń pachciarza, mający na nogach żelazne pęta.

Wyjątki jednak dowodzą tylko istnienia reguły. Tego przecież nikt nie objaśnił, dlaczego organista siedział raz na strzesze, drugi raz leżała w parku i t. p.

Różni ludzie wpadali na domysł już od dawna, że niejaka Siniakowa, komornica, haba stara, brzydka, ze złem spojrzeniem, mrukliwa i taka „jakby od niej odpychał”, wyjeżdża niekiedy kominem na starej miotle; bardzo być może, iż ona do Chylic sprwadziła złego. Ta Siniakowa raz tylko wyszła na podwórko do soltysa i na drugi dzień jedna krowa od razu doń przestała. Znalazł się i taki, który na własne oczy widział i gotów był w sądzie przysiąc, iż pewnego wieczora na nowiu Siniakowa, owinięta płachtą, siedziała na samym rożku księżycy i „furt jechała po niebie”. Skądże ona się tam wzięła? Przecież nie zaszła piechotą ani nie dojechała na furze, tylko musiała robić takiego coś, czego się sprawiedliwy człowiek sroma. Zdaje się też, że ona była przyczyną bolaków, które Bielakowi porosły ni stąd ni owdąd pod kolanami i pod pachami.

Kiedy Czop, żebrak z Sokoliny, przybył do Chylic i w karczynie wysłuchał opowiadania o tem wszystkim, wzniósł w górę ręce, wywrócił oczy i zawołał:

— O ludzie, musicie być bardzo grzeszni, skoro zły ma u was we wsi taką siłę!... Pewnikiem biednym nie dajecie jałmużny i niema się kto za was modlić!

Co się działo, to się działo, a Franek soltysiak już się zaręczył z Agatą i tylko parę trzec, jak dadzą na zapowiedzi. Para była bardzo dobrana, bo i on — chłopak jak świeca. Kiedy odział nową sukmanę, wziął pas z kółkami, nałożył kapelusz z piórkami i poszedł z dziewczuchą w tany, to się aż oczy rwały nań patrzeć. Ha, lekki był z niego parobek, wychuchany przez panią matkę, za młodu się nigdy nie napracował!

Zambitniał teraz, kiedy się miał z Grzybieniówną żenić, bo im obojgu ojcowie już wyznaczili i rolę i wszystko, co na swoim potrzebne gospodarzowi i gospodyni. Chodził sobie po wsi z rękami w kieszeni, jak szlachcic.

Kręcioch zawsze się waleśał i rozmawiał sam ze sobą. Pytali się go ludzie, czy się nie boi chodzić tak po nocy, gdyż wiedzieli, że niema na schronienie głowy żadnego dachu. Nic na to nie odpowiedział, a jedna haba zaraz tam wszystko wytłomaczyła, iż „taki głupi jest jak niewinne dziecko, zły się go za nic w świecie nie czepi, tylko od niego ogromnie stroni. Czy na Piskorce, czy na cmentarz może sobie głupi Wicek bezpiecznie w nocy chodzić i nawet tam nocować”. Wykład był tak jasny i przekonujący, że niepodobienstwo temu przeczyć; więc na szczęśliwego, uprzywilejowanego głupca mądrzy spoglądali z niejaką zazdrością. A on, głupkowato uśmiechając się i bezmyślnie spoglądając dokoła, opuścił zgrozmadzoną rzeszę.

Poszedł nad rzekę, laził po piaszczystem wybrzeżu, zbierał krzemienie i chował do kieszeni.

— Cóż ty, Wicek, tak zbierasz? — zapytał go łączny.

— Ryby, raki, żaby na wieczereć! — odpowiedział obojętnie.

Łączny się roześmiał, zastanawiając się, co też taki głupi ma w głowie, myśląc, iż kamienie są rybami, rakami, żabami... „Może głupi i szczęśliwszy od mądrego”, — pomyślał łączny.

A Kręcioch poszedł w pole, siadł na miedzy między zbożami, wydobyl z kieszeni duży krzesiwo i wprawiał się w krzesanie iskier

z krzemieni. Długo tak siedział i krzesał, aż doszedł do nadzwyczajnej wprawy, z ogromną szybkością uderzał ręką o rękę: zdawało się, że iskry z palców mu wypadają. Uśmiechnął się złośliwie, wstał, podążył ku wsi. Szybko przechodził tam i nazad koło chaty Grzybienia, ale Agaty nie widział. Naraz drzwi skrzypnęły, wyszedł Franek soltysiak, Wicek udał że go wcale nie widzi, jednakże szedł za nim zdaleka, przez całą wieś w odległości jakich stu kroków. Franek wyszedł w pole, widać było tylko między zbo-

jakimś fosforycznym blaskiem. Kilka razy sięgnął po krowi ogon, wystający z tyłu, obmacywał go, jakby się chciał przekonać o twardości; był on teraz nanizany na kij i silnie przymocowany.

W oddaleniu posłyszał śpiew, potem i odgłos kroków. To Franek szedł, dla różności wyśpiewywał różne krakowiaki. Można go już było rozemnać dobrze: trzymał w ręku potężną pałkę. Zły zwinął się do skoku, jak kot, ścisnął obie ręce z krzesiwem i krzemieniem. Widocznie soltysiak nie był bardzo



Adolf Dygasiński

Malował Jacek Malczewski

zami jego czarny, wysoki kapelusz. Głupi wylazł na wierzbę i stamtąd miał widok na całą okolicę. Tu lany dojrzałego już zboża, za lanami, krzakami, przez które, jakby lysi, na wije się ścieżka i biegnie góra ponad brzegiem wąwozu, porośniętego jałowcem, rariną, sosniną karłowatą. Za wąwozem widać nowisko po wyciętym lesie, z którego zostało tylko kilka sosen i nieco paproci. Dalej ciemnieje las, a pod lasem widać biały domek, mieszkanie gajowego. Aha, Franek poszedł nieczawodnie odwiedzić swoją matkę chrzestną, gajową! W promieniach zachodzącego słońca pięknie wygląda ten letni krajobraz. Skowronki śpiewają ponad niwami, przepiórka odzywa się w zbożu, dudek z pastwiska wraca do lasu, nad nim szybuje góra para dzikich gołębi, a kukulka po raz ostatni wpadła jeszcze do sadów i słycać ją to tu, to tam, Wicek zlał z wierzby, przebiegł wieś, wstąpił na cmentarz, a kiedy od kościoła rozległ się dzwon na Aniol pański, on inną drogą zdążył w tym samym kierunku, co i soltysiak. Wszedł w pusty wąwóz, gdzie są tak zwane „Lisie jamy”. Nie słysząc, żeby tam straszło; ale bo też mało kto tamtędy przechodzi: w nocy chyba jedni złodzieje, idący do lasu kraść drzewo, a ci się podobno niebardzo strachów boją.

Głupi spuścił się w wąwóz, przywarował w krzakach, czekał czas jakiś; potem zaczął się ubierać, przeobrażać w czortowską postać. Strasznie teraz wyglądał zaczajony w tej pustce. Zgrzytnął zębami, brzęknął jakimś żelastwem, które miał przy sobie, jakby pazurami skrzesał ognia, piskliwie zachichotał i wygramolił się na sam wierzch wąwozu, gdzie przyległ do ziemi, niby wilk, czatujący na przechodzącą zdobycz. Leżał tak, a oczy jego zdawały się rzeczywiście dziko polyskać

lasu, ale teraz wołała zostać z przyjaciółką. Obie dziewczyny wywabily z chalupy trzecią jeszcze towarzyszkę, bardzo wesolą Wikte i, wzięwszy się pod ręce, poszły na błonie, żeby sobie pochodzić. Niebawem przyłączył się do nich Franek soltysiak, później Szymek, który służył przy dworskich koniach cugogowych, a nareszcie — Jasiek Bielak, syn gospodarza. Rozmowa była tak przyjemna i wesola, że towarzystwo nie wiedziało nawet, kiedy wyszło na drogę i znalazło się przy cmentarzu. Tutaj rozmowa stała się już poważniejsza i jakoś mimowolnie zaczęto mówić o strachach. Jeden soltysiak umilkł, ani się już odezwał. Za to Szymek udawał wielkiego zucha i dowodził, że się niczego nie boi, że gotów o każdej godzinie iść na cmentarz: może się tylko wobec dziewcząt chciał przedstawić, jako bardzo odważny. Nadszedł Wicek i, nie spoglądając wcale na towarzystwo, uśmiechnął się i coś pomrukiwał. Szymek zaczął drwić z niego, Jasiek i Maryna także dogadywali; ale głupi, jakby nie słyszał. Przechodzili koło niego, zatrzymali się, chcieli, żeby co mówił — on nic. Zapytuje go Wikta, czyby poszedł na cmentarz o północy, a Szymek powiada: „Poszedłbym, żeby tam była pełna miska czego”... Śmieją się, żartują, chcą od niego koniecznie jakieś słowo wyciągnąć. Nareszcie rozweselona Agata rzecze: „Wicek, jeżeli pójdziesz dziś o północy na cmentarz i zbijesz tam stracha tak, żeby już nie psocił, zrobię to, czegoś chciał”... Wszyscy się zapytują: „Czegoż on chciał?” — Ale Grzybieniówna poszepnęła coś na ucho tylko jednej Marynie, która śmiechem wybuchnęła, wołając: — „No, nie zatracony pokraka jakiś! Czego mu się zachciewa?”...

Rozeszło się towarzystwo i Agata także wróciła do domu. Kiedy w pół godziny potem wyszła z izby na podwórko, zastała tu głupiego Wicka, który rzekł do niej: „Ty może żartujesz, a ja dziś o północy pójdę na cmentarz”... „Co mam żartować? Idź i zbij stracha, to...” — „Pamiętaj sobie, jakbyś nie dotrzymała, to cię gwałtem pocaluję!” — „Ale dotrzymam, dotrzymam!” — rzekła lekceważąco dziewczyna i opuściła podwórko.

O północy Kręcioch poszedł na cmentarz. Kiedy tutaj przybył, zaczął się potykać na jakiś przedmiotach.

Sięgnął ręką i podniósł sporą ciężką baryłkę; nieco dalej leżała druga, obok niej — jakieś paczki, zawiniątka. Zaczął to zbierać, gdy nagle powstał z ziemi ogromny chłop, chwycił go za gardło, potrząsnął i rzucił sobie pod nogi. — „Nie można go stąd puszczać, bo zdradził!” — odezwał się głos, widocznie pochodzący od kogoś leżącego na ziemi. Chłop w odpowiedzi na to, wydobyl z pasa topór i ciął nim Wicka w głowę. Potem już głęboka cisza zaległa cmentarz.

W jakiś czas na drodze koło cmentarza dał się słyszeć odgłos kopyt końskich i brzęk pałaszów: patrol strażników granicznych robił przegląd swojego pasa. Gdy jeźdźcy już daleko odjechali, zrobił się ruch na cmentarzu. Może jakich dwudziestu chłopów powstało z ziemi, a każdy w milczeniu zbierał rozrzucone pakunki i z cmentarza ścieżkami przez pole podążał ku wąwozowi, gdzie niedawno głupi Wicek nastraszył był soltysiaka. Byli to przemytnicy, niosący towar dla kramarzy z Nowego Miasta Korczynna.

Nazajutrz rano, około ósmej, widziano głupiego, jak od cmentarza podążał drogą, krwią zalany. Włócił się noga za nogą, nie mówił do siebie, nie uśmiechał się jak zwykle. „Cóż ci się to stało, Wicek? — pytali przechodzący ludzie. On nic nie odpowiadał. Nie mógł widać iść, bo się oparł o drzewo; później w opłotkach wsparł się na płocie. O kilka kroków od chalupy Grzybienia upadł na ziemię i, pomagając sobie rękoma, przyczołgał pod kołowrót. Stąd już się ruszyć nie mógł, głowa opadła mu na ziemię, twarz i całą głowę miał oblepioną krwią skrzepłą. Z chaty wybiegła Agata, szła z wiadrem po wodę do studni, za nią — pies i kot.

Spostrzegła leżącego Wicka i krzyknęła przerażona: — „A tobie co się stało, człowieku?” — Otworzył oczy ospałe, wybełkotał niewyraźnie: — „Pocal”... I już dokończyć nie zdołał.

KAZIMIERZ
CZACHOWSKI

O ADOLFIE DYGASIŃSKIM

Z powodu nowego wydania „Beldonka”¹⁾

Twórca „Godów życia”, tego arcyopematu prozą o ziemi i przyrodzie, uchodzi powszechnie za wielkiego nowelistę życia i obyczajów zwierząt. Pod tym względem Dygasińskiego zestawiano z Kiplingiem, przyznając nawet wyższość naszemu pisarzowi. I niewątpliwie, ten wychowanek warszawskiej Szkoły Głównej, rówieśnik czołowych pozytywistów polskich, ten filolog wykształcony na przyrodniczym poglądzie na świat, z zawodu i zamiłowania pedagog, który i w dziejach wychowania i nauczania w Polsce znakomicie się zasłużył, okazał się niepospolicie bystrym obserwatorem życia zwierzęcego oraz samodzielnym a mistrzowskim życia tego literackim odtwórcą. Był zaś Dygasiński pierwszym, co do literatury polskiej wprowadził zwierzęta jako wyłączny przedmiot artystycznego przedstawienia. Rodzajowi temu nietylko zdobył odrazu wybitne znaczenie w naszej literaturze, ale i nadal pozostał na tem polu nieprześcignionym, choć wśród następców Dygasińskiego podjęty przez niego temat jest uprawiany często i z powodzeniem, a świetnym i samodzielnym kontynuatorem jego twórczości stał się zwłaszcza Jan Wiktor, autor „Burka” i „Erosa na podwórzu”.

Dygasiński na pole twórczości literackiej wstąpił w wieku stosunkowo późnym, bo jako człowiek czterdziestoletni, mający już za sobą liczne prace i doświadczenia wychowawcze, naukowe i wydawnicze. Patrząc na przyrodę, jej świat i zjawiska, miał on najlepiej na swój czas ugruntowaną wiedzę przyrodniczą i filozoficzną. Ale obserwując i badając najdokładniej swoje psy, zające, wilki, bociąki czy myszkroliki, niejako zapominał o tamtej wiedzy czerpanej z ksiąg, bo była w nim zawsze niespożyta zdolność nowego i bezpośredniego widzenia świata. Wiedza, jaką posiadał, była mu niezawodnie pomocna, ale raczej podświadomie, nigdy zaś nie przesłaniała mu obrazu życia, nawet wtedy, gdy wyraźniej dochodziła do głosu w jego twórczości literackiej, dość obficie okraszanej aforyzmami, sentencjami czy alegorycznymi aluzjami. Bo Dygasiński świat swój znał i rozumiał, ale przedewszystkiem żył się z nim i najwnikliwiej się weń wczuwał. Zwierzęta Dygasińskiego to nie są przedstawiciele gatunków przyrodniczych, lecz odrębne osobniki najdoskonalej zróżniczkowane. Mają one swoją własną psychikę i swoisty charakter. Celem oddania ich rysów jednostkowych musiał się Dygasiński posługiwać antropomorfizacją. Poprostu dlatego, że inaczej arcyizm opisu wypadłoby ograniczyć do wrażeń obserwacji wzrokowej, czyli pozbawić go dynamiki wewnętrznej, przez którą właśnie osiąga się to napięcie prawdy artystycznej, jakie daje złudnie jednorodności z t. zw. prawdą życiową. Rozpoczynając zaś swą działalność literacką w dobie naturalizmu i nawet, jako współredaktor „Wędrowca” wraz z Sygietyńskim i Witkiewiczem należąc do pionierów nowego prądu literackiego w Polsce, pozostawał Dygasiński pod wpływem programu naturalistycznego, albo rzeczywiście trzeba raczej, program ten w istotnych swoich założeniach najlepiej odpowiadał własnemu usposobieniu twórcy naszego pisarza. Aczkolwiek stwierdzić odrazu należy, że Dygasiński ostatnimi swymi dziełami, nie wykraczając bynajmniej poza zadania określone sobie od początku, przeszedł tylko ewolucję filozoficznego poglądu na świat od przyrodniczego pesymizmu do optymistycznej wiary w potęgę twórczego ducha, znalazł również uznanie u nowego pokolenia Młodej Polski. Sprawił to wszakże nie jakkolwiek program estetyczno-literacki, lecz wyłącznie arcyizm, czerpiący swe soki z wielkiego umiłowania ziemi rodzinnej i mowy ojczystej, wyróżniającej się istotną i rzetelną samodzielnością pomysłów twórczych, w których polot poetyckiej wyobraźni opierał się zawsze na twardej epoce realnego świata zjawisk, a słowo pisarza, zasilane na równi wszechstronną kulturą naukową i literacką, jak i umiejętnie wprowadzanymi z sobą językowymi ludu małopolskiego, z

przejrzystą i jasną prostotą najpiękniej wyrażało rzeczywisty obraz życia.

Powieści i nowele o zwierzętach, najlepiej znane i najpowszechniej uznane z bardzo różnorodnej i wszechstronnej twórczości autora „Zajęca”, „Asa” i „Godów życia”, nie słusznie przesłoniły rzetelne wartości innych dzieł Dygasińskiego. Zapomina się dziś bowiem, że ten epik kielecki Ponidzia, o którym wyraził się Zeromski, że najdoskonalej zbliżył się do mowy rodzimej ludu małopolskiego i podniósł ją na artystyczne wyżyny zrozumiałego dla wszystkich, rdzennie polskiego języka literackiego, niemniej wnikliwie jak przyrodę, jej świat i krajobraz, przedstawił również ludzi a zwłaszcza lud swej ziemi. Autor „Beldonka”, „Dramatów Lubądzkich”, „Margieli i Margielki” zasługuje zwłaszcza obecnie na bliższą uwagę jako znakomity odtwórca życia i duszy ludu. Wyprzedziwszy Reymonta, Dygasiński opisywał swoich chłopów z realistyczną wiernością naturalisty, ale i z głębokim współczuciem ludzkiego serca. Był on zaś przytem demokratą nietylko z przekonania, bo z najistotniej wewnętrznej potrzeby. Widział dokładnie chłopą takim, jakim on naprawdę był, lecz zarazem żywił kult dla jego pracy na roli, przeciwstawiając go próżniaczemu „Właścicielom”, bez których — jak się gdzieś wyraził

— ziemia obyc się może. Pod tym względem poglądy Dygasińskiego mogą dziś uchodzić za zwiastujące późniejszą ideologię pracy Brzozowskiego. Aczkolwiek u Dygasińskiego wynikały one nie z wyrozumianej teorii, lecz z rozumnego i nieuprzedzonego spojrzenia na społeczną rzeczywistość. Z jakim zaś realistycznym obiektywizmem wnikł w dusze i przedstawiał życie ludzkie, przykładem jaskrawym „Pan Jędrzej Piszczalski”, wyborna powieść o żywiolowej jednostce ze szlachty polskiej, wyzywającej swój temperament, niezajdujący właściwego dla siebie naówczas ujścia, w awanturnych wybrykach. W życie się pisarza w przedstawianą w powieści postać aż zmyliło niektórych krytyków, którzy — praktykowanym zresztą i dotąd zwyczajem — na karb autora zapisywali, co on tylko bezstronnie, lecz z sugestywną siłą fikcji literackiej wyobraził. W stosunku do ludu, w różnych swych utworach objawiający wszechstronny obraz życia, obyczajów i charakterów, najwybitniej Dygasiński rozwinął swoisty program umiarkowanego naturalizmu. W tym kierunku z następców najbliższy Dygasińskiemu jest Orkan, zwłaszcza jako autor „Komorników” i „W Roztokach”. Dla Dygasińskiego lud stanowił najistotniejszą część umiłowanej

przez niego przyrody, ale w ludzie widział on także ostoję narodowej przyszłości. Te wskazania są jednak najtroskliwiej ukryte, tylko rzadka zdradza się zmienacka tym lub innym zwrotem, wyrażającym myśl autora, który także na człowieka patrzył oczami artysty-przyrodnika, z jednakową ciekawością psychologiczną wnikającego w różnorodne objawy natury ludzkiej. Podążył też z partią emigrantów chłopskich do Brazylii. Oprócz „Listów z Brazylii” i kilku drobnych opowiadań powstała stąd powieść p. t. „Na złamanie karku”, której część pierwsza odznacza się szczerem rozmachem epickim, później jednak zagubionym w pośpiechu pisarza zarabiającego piórem. Konopnicka, która, pisząc swego aż nazbyt przecenionego „Pana Balcera w Brazylii”, znała kraj ten tylko z literatury, wiele szczegółów rzeczowych i nawet niektóre pomysły żywcem sobie przyswoiła z tych zapomnianych dziś brazylijskich opowiadań Dygasińskiego.

Obok przyrody i ludu, trzecim głównym i samodzielnym opanowanym motywem w twórczości Dygasińskiego było życie lumpenproletariatu polskiego. Liczne rozdziały niektórych powieści autora „Tajemnic Warszawy” zawierają świetne w tym zakresie charakterystyki i obrazy obyczajowe. Zauważył to już Brzozowski, że Dygasiński pierwowid i na swój czas jedyny dojrzał to zjawisko społeczne, kształtujące się na gruncie polskim inaczej, niż w wielkomiejskich środowiskach zachodniej Europy. I ten odrębny światek znalazł w Dygasińskim doskonałego znawcę, który z wymienitą werwą umiał przedstawić blaski i nędzę życia na bruku. Po Dygasińskim dopiero Ludwik Stanisław Liciński podejmuje ten temat, ale opracuje go z rozliwowaną goryczą, później zaś Jan Wiktor z franciszkańską czułością rozepnie nad człowiekiem z bruku swoją „tęczę nad sercem”. Dygasiński przedstawił i to życie z dnia na dzień z całym spokojem realisty, a odruchy subiektywnego współczucia znakomicie pokrył wisielczym humorem. Bo i wogóle w twórczości Dygasińskiego serce człowieka nie toni leż, lecz z mądrą rozumą analizuje i przedstawia arcyłudzka rzeczywistość.

Arcydziałem Dygasińskiego są bezsprzecznie „Gody życia”, labędzi śpiew poety, który w tem ostatnim swoim dziele na tle dziejów skromnego myszkrolika odtworzył filozoficzny obraz wszechświata. Jeden to z najpiękniejszych i najgłębiej ujętych poematów o przyrodzie i życiu. Lecz kto wie, czy dla nas, czytelników dzisiejszych, wcześniejsze utwory Dygasińskiego nie więcej mają uroku? Przemawia z nich bowiem pisarz, dla którego bezpośrednio poznana prawda rzeczywistości przyrodniczej i społecznej była podstawowym nakazem twórczym. Przytem pisarz, który właśnie ten niezaklamany obraz rzeczywistości umiał wypełnić ruchem i nasilił mocnymi barwami życia. Aż dziw bierze, gdy wzięwszy do ręki zapomniane i nieraz zupełnie przeoczone utwory Dygasińskiego, coraz pewniej dochodzimy do przekonania, że ów pisarz jest naszym obecnemu pojmowaniu zadań literackich bliski, że się on nam dziś zdaje nawskroś współczesny. Do rzędu tych utworów należy także „Beldonek”, powiastka o chłopaku wiejskim i jego pielgrzymce z dziadem Florkim do Częstochowy. O tej to powiastce wspomina Zeromski, iż gdy na obcej ziemi szwajcarskiej ogarniała go tęsknota za ojczyzną, na kartach „Beldonka” odnajdywał autentyczne tchnienie ziemi rodzinnej. Zaiste, jest to utwór, w którym przedziwny arcyizm prostoty zespala się bez reszty z wrazeniem autentycznej prawdy, podanej w gawędzie tyleż zwyczajnej, jak by się jej słuchało w jakiejś chłopskiej izbie, ile zajmującej i pięknej. W „Beldonku” może też najwięcej i najsyntetyczniej wypowiedział się Dygasiński jako artysta i człowiek.

Podjęte przed dziesięcioma laty wydawnictwo zbiorowe utworów Dygasińskiego po kilku lichy wyglądających tomikach przerwało z winy nakładcy. Nowe wydanie „Beldonka”, dokonane staraniem córki i zięcia znakomitego pisarza, przypomina jedno z najwięcej palących zaniechań wydawniczych, jakim jest zbiorowe i krytyczne wydanie wszystkich dzieł Dygasińskiego. Sprawa to nader pilna i bardzo na czasie.

DYGASIŃSKI WŚRÓD LUDU I MŁODZIEŻY

W r. b. odbyły się w Warszawie parotygodniowe kursy, zorganizowane przez Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej dla przodowników i działaczy wiejskich. Na zamknięciu kursów urządzono kilkogodzinną konferencję, poświęconą zagadnieniom polskiej literatury. Na konferencję tę, o której pisaliśmy już w „Pionie”, zaproszono literatów; obecni byli Kruczkowski, Młodzień, Wiktor i inni. Akademię reprezentował jej prezes, Waclaw Sieroszewski. Konferencja była urządzona w tym celu, żeby zetknąć literatów współczesnych z życiem wiejskim, albowiem, jak zaznaczono, w zaproszeniu, „wieś polska, jak dotychczas, ma zamale miejsce w literaturze, zwłaszcza obecne młode pokolenie nie znajduje w literaturze odzwierciedlenia swoich prądów, dążeń i zmagania”. W czasie tej wielogodzinnej konferencji obie strony powiedziały sobie sporo tak zwanej gorzkiej prawdy, dzięki czemu ta rozmowa działaczy wiejskich toczyła się w płaszczyźnie szczerości.

Działacze wiejscy skarżyli się, że literaci nie znają wsi polskiej, nie opisują jej dołu i niedoli. Ale rzecz charakterystyczna, zwrócono im uwagę, że mówią wszyscy o Orkanie, ale w bibliotekach po wsiach prawie niema go wcale, mówią o Reymonie, ale więcej ze słyszenia. Jakiś działacz wiejski, będący aktualnie studentem, wymienił jeszcze Wyspiańskiego, który wedle niego pierwszy się zajął chłopem, a potem trochę Prus. Na paręset osób zgromadzonych działaczy wiejskich o Dygasińskim nie słyszał nikt! Pisarz, który dał socjologiem wsi minionego okresu, który odtworzył chłopą polskiego w całej jego nagości i prawdzie, który w wielu swoich utworach przedstawił psychologię chłopą polskiego, jego bytowanie i jego los i związek z ziemią, jest nawet z nazwiska nieznany młodym działaczom wiejskim. Ten pisarz, który przytem rozumiał tego chłopą i otoczył go serdeczną troską; ten pisarz, który zdawał sobie sprawę z tego, jakie wielkie, niepożyte skarby tkwią w chłopie polskim i w ziemi. Uplęnęło zaledwie trzy dziesiątki lat od jego śmierci a działacze wiejscy, a więc „śmietanka”, ci, co są pionierami, niosącymi „oświaty kaganiec” nie wiedzą kto zaczął Dygasiński. Nie znają go nietylko z utworów, ale nawet — z nazwiska! Być może, iż przyczyna leży w zupełnym braku dzieł Dygasińskiego, ale tem nie mniej daje to ujemny rezultat w umysłowej i duchowej kulturze narodu.

A jak Dygasiński jest żywy, zawsze świeży, nieprzestarzały, na czasie, słowem pisarz najwspółczesniejszy — niech świadczy

czy list p. R. nauczycielki szkoły powszechnej z okolic Zyrardowa. Szkoła jest duża, liczy paręset dzieci. W styczniu do biblioteki szkolnej nabyto „Beldonka”. Zaczęto go czytać na zebraniach organizacji uczniowskiej „kółka miłośników mowy polskiej”. I taką oto zdaje relację nauczycielka z tej lektury w liście z dnia 11 lutego r. b.

„Liczyłam na to — pisze — że powieść ta powinna zainteresować młodzież nawet mało rozwiniętą, gdyż są to przeważnie dzieci biedne, które z domu dla umysłów nie otrzymały, mało gdzie były, nawet Warszawy nie widziały. Otóż znając te dzieci i wiedząc, jak trudno trafić do ich dusz i utrzymać ich uwagę, nie spodziewałam się jednak, żeby zainteresowanie Beldonkiem było aż do tego stopnia wielkie. Jeszcze nigdy nie im się tak nie podobało i to odrazu, od pierwszych stron. Zachwył ich — nadzwyczajny. Godziny czytania przedłużają się. Zebrania „kółka” odbywają się raz na tydzień, więc dzieci doczekać się nie mogą. Już jesteśmy blisko końca. Przedtem była czytana „Niezwykła podróż”, drukowana w „Płomyku”. Rzeczywiście niezwykła, bo na Wenus. Zainteresowanie było nieszczerólnie. Mnie podobało się to więcej niż dzieciom, które okazywały roztargnienie. Co to za nadzwyczajny czarodziej, ten Dygasiński! dla czytelników nieśmiertelny! Arcydziało, którem zachwycają się umysły wielkie, jak Zeromski — trafiło także i do takich prostych dusz! Sądzę, że wiadomość tego może mieć szersze znaczenie i zainteresować może nietylko nas, nauczycieli i wychowawców. Mnie to cieszy ogromnie, gdyż staram się wzbudzić w dzieciach zapal czytelnictwa — do naszej literatury, a to bardzo trudno. Przy czytaniu „Płomyka”, przeznaczonego przecież dla takiej dziatwy, nie które rozmawiały ze sobą, inne patrzyły w okno, szczególnie na grających w siatkówkę. Miałam niegdyś wielkie zadowolenie przy czytaniu „Lilli Wenedy” w klasie 7-ej, obecnie niema tego w programach. Dzieci z innych klas nie umiały tem się przejąć, a to wielka przykreść czytać wtedy. Dzięki Bogu, mam teraz „Beldonka”, który sprawił cud zainteresowania wśród małych moich czytelników, a raczej słuchaczy...”

Gdy Stanisław Witkiewicz czytał swemu synowi, dzisiejszemu Witkacemu, i góralom zakopiańskim „Cudowne bajki” Dygasińskiego — byli równie zasłuchani. Zarówno syn, jak i górale, a wśród nich Sabala, toczyli z Witkiewiczem długie na temat „Cudownych bajek” rozmowy.

P. S.

¹⁾ Adolf Dygasiński: Beldonek. Warszawa 1934. Wydawnictwo Zofji i Władysława Woleńców. — Dokładniejszą charakterystykę Dygasińskiego opracował autor powyższego artykułu w I-ym tomie „Obrazu współczesnej literatury polskiej 1884 — 1933” (Lwów 1934).

A DOLF
DYGASIŃSKI

O ŻYCIU I LITERATURZE

CYWILIZACJA

Jest to dzieło wykonane przez liczne pokolenia w pocie czoła, a z pomocą ludzi genialnych — tych rzemieślników cywilizacji. W każdej epoce znaleźli się tacy, którzy wskazywali ów kierunek i przekazywali go innym. Wyrosła ona na gruncie potrzeb i pragnień zupełnie naturalnych: chleb był zawsze prawem boskiem człowieka i pozostał; ale człowiek zapragnął „żyć nie samym chlebem”. Wszystko i ciągle się udoskonala, nawet sposób zabijania ludzi. Nic nie zniknęło, zmieniło się tylko wszystko, począwszy od skóry zwierzęcej a kończąc na rozkoszach intelektualnych.

PESYMIZM

Jedyna ludzka istota mająca prawo niezadowolenia, chłop, pracuje ciężko, wierzy i nie wydaje tych okrzyków bólu, jakie się wyrwywają w piersi tych nawet, którym wcale nie jest zbyt źle na świecie. Ach, — powiecie — bo jest obowiązek „cierpieć za milion”. Niech mi wolno będzie powiedzenie takie nazwać jednak przesadą. Nawet największy człowiek może cierpieć tylko własnym sercem i cierpieć za siebie.

LITERATURA

Znaczenie jej w życiowym procesie społeczeństwa, ponieważ jest ona wcieleniem duchowych sił narodu; a jeśli jej niema, to sił takich brakując, albo jeszcze śpią. Literatury nie może przepisywać żadna kancelaria. Hasła, wrzaski literackie przebrzmiały, zostanie to, co jest dobre, piękne, szlachetne istotnie. Każda literatura, choćby bardzo stronna, zawsze wyższa od życia społecznego. Literatura ma od Boga pełnomocnictwo sądzić.

Piśmiennictwo, malując życie, nikogo nie gorszy, a tylko budzi sumienie publiczne. Ono jest spowiedzią społeczną. Łotrów, prostytutki tworzy życie, a literatura ujawnia, że są. Dobrym ukazuje na zło społeczne, a złym przedstawia uczucia szlachetne, o których im się nie śniło. Obludnym nie można być, gdyż obluda nie stanowi podstawy społecznej ani państwowej.

Dziś lud na porządku dziennym musi być społeczna literatura ludowa. Literatura ma epoki: róż, słowików, chłopów, szlachty i t. d. Literatura musi zrobić chłopa, pokazać, czym on jest.

Literatura nasza nie wyszła jeszcze z epoki męczeństwa, jak chrześcijaństwo w pierwszych wiekach.

GŁOWA AUTORA

U nas głowa autora rzadko kiedy jest spokojna. Trudno o takiego, który ma swoją herbatę, wino, cygara, fotel — rzeczy posiadane przez każdego przedsiębiorcę literackiego. Masz jedynie miłość sztuki i to ci powinno wystarczyć. Z nią głęboko w duszy uchodź od świata, nie baw się, nie używaj, i w samotności, napojony goryczą, twórz, a jeśli stworzysz dzieło cierpkie, obetrą cię ze skóry. Mówisz wyraźnie: „Boli mię!” Nic nie pomoże. Rozplącz się w bek, to ci dadzą jalmużnę, ogłoszą składki przez gazetę — oh! Pomogą ci wyciągać rękę do osób litościwych. Warunki, wśród których nasi literaci żyją, oddziałują przecież na koloryt ich dzieł. Społeczeństwo zachowaniem swoim wywołuje właśnie skojarzenia wyobrażeń, na które potem głośno sarkają; ale to są nieublagane konieczności. Przyszły historyk literatury będzie umiał ocenić to położenie i odróżni zapewne groszorbstwo od bezinteresownej twórczości, a jest materiału kupa.

Uważliwajcie ludzi, a będą dobrze czytali, mówili, pisali i działali.

GŁOWA AUTORA I KSIĄŻKA

Co innego świat, co innego głowa i co innego książka. Głowa nie obejmie tego, co jest w świecie, książka nie obejmie tego, co jest w głowie. W głowie istnieje mnóstwo jeszcze lepszych i gorszych idei, zamiarów, uczuć; ale w książce jest to, co autor w danej chwili oddaje z siebie. Czasem przez

książkę oczyszcza on się — że tak powiem — z powszedniości, wyluskuje się i pisze to, co mu głowa podyktowała. Często jest nie szczery i pisze, co sądzi, że ludzie chcą czytać.

AUTOR

Nikt tak dobrze, dokładnie nie zagląda we własną duszę, jak rzeczywisty artysta. Dobrze dla niego, gdy spostrzeże, że wśród ludzi chodzi w masce. Tajemnica jego roboty często na tem polega. Podpatrzyć siebie jest to warunek podpatrywania całej natury.

Możnaby zazdrościć tym, którzy dobrze piszą, gdyby nie stała otworem droga pisarza jeszcze lepiej.

artykuły wstępne. Miał względy u płci pięknej, gdyż nosił się ładnie. Jeżeli przypadkiem coś śmiałego wyszło mu z pod pióra, podpisywał to pseudonimem i zapytywał kolegów: „czy nie wiecie kto jest Midas”? Wydawcy obchodzili każdą jego naszywkę świętem w swoich salonach, a gdy nadeszła 20-letnia rocznica jego „użytecznej pracy”, — orzekli: „prorok!” Obejrzeni się i gdy nikt nie przeczył, został prorokiem. Nosił balsaminkę w dziurce od guzika. Jedyna dodatkowa strona: — zamilowanie do kwiatków.

Ciężka artylerja. Tacy, których sam podpis wystarczy, aby uspokoić naród, gdy zacznie szemrać przeciw gazetce. Ciężka ar-

try trzy dni wszyscy warszawiacy spoglądają w słońce i nieśmiertelność gazety zyskała trzy dni czasu. Albo: „pod zwrotnikiem urodziło się dziecko, które powitało światło dzienne odśpiewaniem arji z „Żydówki” — dziedziczość. Albo: „W Afryce sarańcza zjadła uczzonego zoologa, który ją badał”. Tymczasem uczonego czuje się zdrowy, jak Jonasz z brzucha wieloryba.

Straż ogniowa dziennika. Gasi pożary wzniecone przez raketników. Jest to, delegacja ludzi rozważnych, którzy aby ocalić dziennik, zwalają błąd na biednego zecera (najczęściej), albo — stosownie do okoliczności — „błąd się zakradł z powodu nawalu pracy, wyjazdu redaktora za granicę, nieuwagi specjalnego korespondenta i t. d.”. Ktobądź musi być winien, byle nie gazeta, za którą ludzie płacą gotówką.

Agent z miasta. Osoba w gazecie bardzo ważna, wie nawet o tem, co ma jutro nastąpić i daje artykuły najpoczytniejsze w dzienniku. Gdyby nie kanceliści literatury i agenci, nie mielibyśmy rano i wieczór świeżej literatury; nie znalibyśmy współczesnej historii powszechnej i krajowej. Nie należy jednak zbyt mocno ufać tym ludziom, i gdy, czytelniku, przeczytasz w gazecie któregoś dnia, żeś umarł, nie wierz temu!

KRYTYK

Rozkosz krytykowania odejmuje zdolność odczuwania piękności w dziele sztuki. Dla tego też w poczuciu tem sprawiedliwi krytycy są bardzo oględni; inni wyczekują, co powie publiczność — pociąg do owczego pędu. Inni krytycy rzadko kiedy u nas przemawiają: admonere volumus non mordere.

Najlichszą klasę stanowią krytycy czułości, mówiący przesadnie w przenośniach: „Pieśniarz serca”, „pogromca wad starzających” i t. d. Ci piszą właśnie ciepło.

Ostatnia to rzecz, kiedy krytyk stawia autorowi zarzut niemoralności, co zwykle czyni, kiedy niema nic do powiedzenia o książce. Pisarz odważny zawsze na ten zarzut zasłuży, a tylko tchórz może się go obawiać.

Istnieją liczne sposoby tworzenia, i kto tworzy jest wolny. Krytyk jest niewolnikiem, ponieważ ma jeden tylko sposób oceny. Rzadko kiedy krytyk ocenia dzieło podług rodzaju usiłowań twórcy. Gdy to uwzględni należycie, tworzy także, pracuje swą wyobraźnią. Zwykle jednak krytyk pisze jakby nie posiadał żadnych innych uczuć, prócz sprawiedliwości, która przecież jest uczuciem względem i na czas tylko jakiś wystarcza. Sprawiedliwość jest tu pojęciem nie odpowiadającym niczemu istotnemu tylko idei samego krytyka.

Mądry krytyk i głupia publiczność: „Dotąd zorałem plugiem i tej bródzy przekroczyć nie wolno!” A publiczność śmieje się i wywraca koziolki. — Czyta. „Wstydzicie się!” Czy krytyk jest mądry, czy głupi — wszystko jedno dla dzieła, które zostaje sobą.

Krytyk wykuwa młotem sławę autora, lub ją zabija. Często staje się sławnym przez to, że o sławnym człowieku pisał. Bardzo obszerna i gruntowna krytyka może podnieść słabe dzieło i wsławić je. Większość krytyk spotyka się z losem Waltera Scotta, który napisał historję Napoleona i nikt jej nie czyta.

Pochwałę krytyki bierze autor bardziej do serca niż naganę i wtedy uważa sobie czasem za obowiązek odpowiedzieć godnie wymaganiom krytyki — co mu też na dobre nie wychodzi. Nagana najczęściej go oburza: „Nie poznano się na mnie, nie zrozumiano mię!”

GŁOWA KRYTYKA

Umysł mierny wyobraża sobie nieraz, że człowiek tworzący arcydzieła, jest mierniejszy jeszcze od niego i dlatego na ostry sąd tu i ówdzie zasługuje.



Adolf Dygasiński

Malował Jacek Malczewski

KOBIETA-AUTORKA

Z nadzwyczajną łatwością umie wypowiedzieć to, czego nie czuje i dlatego nie może być artystką. Nieraz dużo widzi, ponieważ jest ciekawa i dużo o tem powie, ponieważ lubi się wygadać. Ale często nie zdobędzie się nawet na pamiętanie o tem, że człowiek nago się urodził i nago tkwi w swoim ubraniu. Mężczyzna nigdy w piórze nie zdoła być takim udawaczem, jak kobieta. One też produkują najgłówniej towar dla wydawców, — często na sprzedaż.

Mniejsza o prawa równe; ale bądźcie nadal kobietami! Nie traćcie swego indywidualizmu.

DZIENNIKARSTWO

Redaktor. Jest to pisarz, którego talent polega na takim wyjalowieniu dziennika, a żeby ten był przyjemny dla każdego głupca; przytem dla smakoszy powinien redaktor wsadzać w gazetę także coś w rodzaju paszetu strasburskiego. Cenny, pożądany redaktor. Za to ma on w Warszawie prawo, przynajmniej usiłuje mieć, poprawiania autorów, lub przynajmniej objaśniania ich wyrażen podług swoich pojęć o moralności, estetyce i t. d.

Przypadkiem prorok. Dorabiał się naszywek i został generałem. Za wydawców walczył w szeregach literatury, wygodny był i obrazowo opracowywał, serdecznie, ciepło, wszystko czego życzyli: głównie projekty,

tylerja zwykle milczy, jest bardzo poważna, sprawia wrażenie głębokiej otchłani myśli. Widząc poważnego i zadumanego starca, łatwo sobie przypomnieć jednego z siedmiu mędrców, zwłaszcza gdy starzec jest opryskliwy.

Kancelista. Wzór sumienności. Codziennie o jednej godzinie przy biurku — w upały bez tużurka pracuje w pocie czoła — niewątpliwie pracuje dla ludzkości, która nazajutrz w jego pracę masło i wędliny zawija. Zazdrości godzin, ponieważ ma stałą pensję w redakcji: „Tyle i tyle lokci, a lokcieć po tyle a tyle groszy”. Sroży się strasznie na wszystkich, którzy nie siedzą tak jak on codziennie przy stoliku. Bo gdyby nie on, dziennik dziś nie wyszedłby i — tysiące niezadowolonych. Sam jeden mógłby urządzić strajk wydawcy, ale cóżby on sam robił? Kancelista wędruje po Europie i daje wiadomości rozumowane o ruchach społeczeństw z czego warszawscy filistrzy układają programy polityczne.

Raketnik. Są sprawy żywo obchodzące całą ludzkość; trzeba niekiedy spojrzeć w gwiazdy, a niebo nam powie: „Nie tak jest, jak myślicie, ziemianie!” I wtedy człowiek, obdarzony rozumem intuicyjnym, jakby powiedział Kant, syntetyk — pojmuje o co chodzi, puszcza literacką raketę, a ludzie dowiadują się rzeczy nowych, np. że najnowsze badania astronomiczne dowiodły, że słońce znowu obraca się koło ziemi. Swoją drogą za trzy dni się to odwoła; ale przez

Krytykiem jest każdy, kto książkę przeczytał, a nawet ten, kto tylko słyszał o niej.

KRYTYK I AUTOR

Są krytycy, nowi ludzie, którzy ciągle oczekują nowych prądów od literatury i w każdej żywszej myśli widzą zwiastuna nowego kierunku, zapowiedź nowego geniuszu. Tymczasem ci geniusze cichną jak słowiki pod koniec lata, a życie się obraca dalej na starych zardzewiałych zawiasach.

KRYTYKA I AUTOR

Czy warto pastwić się nad miernotą? Herod morderca niemowlęta. Krytyk walczący z olbrzymim talentem i talentem nie zabija, ale głupim mógłby może ukazać nicosć wielkości. Gdyby krytyka nie istniała, arcydzieła i takby nie przepadły, ale mierności zginęłyby zapewne w pochodzie czasu.

Został dziś sławny! Sława za pracę to mało, gdy brakuje chleba jako nagrody. Głodny w wieńcu laurowym idzie do grobu, także pocichu. To już lepiej kłaść się w ziemię opluty żółcią krytyki — więcej w tem logiki.

KSIĄZKI

Ze książka oddziaływa, dowodem werteryzm. Nigdy przez moralizowanie nie do prowadzono nikogo do tego, aby sobie życie odbierał. Ale czy dlatego, że się ktoś może zarzącać, nie wyrabiać nożów i brzytwy? — Sztuczne lekarstwa na takie wpływy książki są też niedobre, gdyż zrażając do marzycielstwa, ośmieszając idealizm łatwo pobudzić młodzież do groszorbstwa, bogactw ożenków, karierowiczostwa i t. d. Wogóle autorzy lekarze są lichym żywiołem, ponieważ artyzm zastępuje u nich tendencja.

Jakiż wpływ ma książka? Wprowadza u człowieka zmiany. Po przeczytaniu książki zaczynamy inaczej kochać, inaczej myśleć.

ZYCIE I KSIĄZKI

Na grobie ojca, dziecka, brata uczuwa się ból istotny; ale boleść, którą autor wcielił w duszę swego bohatera, gdy ten płacze na takim grobie, jest inna. Co za różnica?

KSIĄZKA I WYDAWCA

Właściwie mówiąc, żadna wartość, jako taka, nie istnieje na świecie: chodzi o to, czy ludzie czegoś poszukują i za to płacą. Szereki rynek znaczy tu wielka poczytność, spodziewane odsetki od talentu autora.

WYDAWCA

Ze względu na swą głowę, zdobywa on się najwyżej, na zdanie takie: „Jestem za tolerancją wyznaniową”. „Mam przekonanie, że bez łaciny i greki można być użytecznym człowiekiem”. „Książkę powinno się tak pisać, aby ją 15-letnia panienka mogła czytać”. — W salonach swoich przyjmuje literatów i tak ich przedstawia: „Oto jest polski Brandes, polska Georges Sand, żona polskiego Heinego!” — „Kaźdego trzeba na polskie przetłumaczyć, aby w Polsce coś było. Francuzowi nie przyszłoby na myśl nazwać swego autora francuskim choćby Mickiewiczem.”

CZYTELNIK

Publiczność czytająca romanse jest zmieniona jak kobieta. Kobiety szukają w książce tajemnicy swego serca i tajemnicy swej rywalki.

Czytelnik rozpoznaje w książce jak w zwierciadle duszę swoją: czasem zadrży, że ktoś podpatrzył te strony, które — mniemał — jemu samemu są znane. Jego niezadowolenie jest często sławą dla dobrej roboty autora.

Czytelnik szuka strawy dla swej duszy i od jego duszy zależy uznanie dla książki: co zgani spokojny mieszczanin, to się może podobać wrażliwemu młodzieńcowi studentowi. Gust do książek zmienia się z przewrotami społecznymi. My żyjemy jeszcze zupełnie ro-

mantyzmem. Obywatelstwo chłopca nie odbiło się żywo na czytelnictwie naszym.

(Przez romantyzm rozumiemy nadzwyczajność uczuć, woli, niedającej się pogodzić z porządkiem rzeczywistym podług wyobraźni autora a nie obserwacji życia.)

Zbyt się chelpimy swymi autorami, którzy zawsze byli głodni, choć wielcy, a dziś często niema ich za co pogrzebać. Wygląda to jak urągawisko z literatury i sztuki. Prócz grajków i śpiewaków, artyzm nasz w dło-

nie chucha i manną bożą żyje; lwia część zbierają wydawcy, którym czytelnicy głównie placą za rozkosze umysłowe. Pomyślmy o Mickiewicz, Słowackim, o tych wielkich a istotnie wielkich literatach. Nowsze czasy więcej dostarczyłyby przykładów i rzecz niesłychana: powtarzają ci często: — „nie umiesz chodzić kolo siebie, sprzedać się, potargować!”

Na parę lat przed śmiercią A. D. przygotowywał materiał do studjum obszernie-

szego na temat: literatura, autor, krytyk, czytelnik, książka. Pracy tej wszakże nie zdążył ukończyć. Poszczególne ustępy, raczej uwagi o charakterze aforystycznym, są tak skondensowane, że stanowią niejako myśli przewodnie rozdziałów. Rękopisy zostały, dotyczący tej materji, został przeze mnie uporządkowany według tematów. Po- daję z niego szereg uwag.

(Z. W.)

ADOLF DYGASIŃSKI

Z LISTÓW DO CÓRKI

I

Najdroższe Moje Dziecko!

Wiosna! W powietrzu — zapach wierzby i topoli, kosy gwizdzą, kukulka wola, niebo się trzęsie od śpiewu skowronków. Słońce takie ciepłe, rozkoszne; — powietrze gładzi po twarzy jakby aksamitem; zieloność przez oko wola na duszę. Tęskno mi, moje Dziecko, wśród tych pól, łąk, lasów; zdaje mi się, że niebo i ziemia duszą ze mnie wydzierają. Czy tęskno za Tobą, Moja jasna Głowko? Czy za życiem, co przeszło? Czy za tymi, którzy w grobach leżą? Czy może tęskno z przecucia grobu własnego?.. Wszystko jedno, dosyć, że tęskno. Raz na rok od jakiegoś czasu spada na mnie brzemień tej tęsknoty bezgranicznej, którą się dzielę z Tobą. — Ah, jak Ty tam żyjesz? Pieniądzy nie masz — co? I ja nie mam, co zrobimy? Posłałem teraz to, co zarobiłem, na ratę Towarzystwa Kredytowego. Czy Ty wytrzymasz do czerwca? Na prawdę nie wiem, ile Ci zostawiłem i ile miałaś jeszcze; donieś mi, bo się w niepewności zatrapię. — Kosciuszko pisał do mnie: boli go, że od Ciebie nie miał wiadomości do dnia 23 kwietnia. „Chociaż na króciutką wiadomość o sobie mogłaby się zdobyć” — są jego słowa. Miałem list i z Elżbięcina, od Ciotki i od Książkiewicza, bo do nich pisałem. Zasiewy skończone i kartofle posadzili. Mania wszystko maluje w barwach najświetniejszych. O Boże, jakież to szczęście optymizmu! Przecież wszystko jedno na jaki sposób człowiek jest szczęśliwy: z powodu prawdy czy złudzeń. Byleby tylko być szczęśliwym, byleby nie mieć w sercu cierni! — Moja Złota, Tobie samej zostawiam wolę co do podróży do Elżbięcina. Alboż ja wiem jak Ci tam będzie? A co do mnie, to mi o to chodzi jedynie, aby Ci dobrze było. I tam jest wiosna! Jeśli chcesz wiewiórki, pić mleko, żyć przyrodą, patrzeć w siebie i w niebo, jeśli to prawdziwie kochasz, to jedź! A nie, to nie! Pocóżbyś się miała męczyć? Nawet obowiązek trudny musi mieć w sobie nieco przyjemności dla człowieka, jeśli życie nie ma być piekłem. — Jak się ma pani Janina? Pozdrów ją serdecznie, gdyż współczuję z nią najzupełniej. — Jeżeli wesela panny Wandy w Lipcu, to Cię na nie ubiorę podług siebie. — Tu są teraz Święta Wielkanocne: znowu baby, placki, mnóstwo tych tłuszczy i różnych poganińskich okazalności. W domu jestem znowu sam; pojechała Pani i mój uczeń do Warszawy, ja nie mam za co: 15 rubli całego majątku. Nawet z podarunkiem imieninowym dla Ciebie muszę się zatrymać, co mię boli. Piszę książkę dla dzieci; nie doniosłaś mi o „Chasses célebres”; czy są, bo były. Dla porządku zaznaczam, że ten list jest szóstą z rzędu korespondencją. — W drugie tutejsze święto zbieram się z odwiedzinami do Brzostowicy do hrabstwa Kosakowskich. Wiesz, że się nie lubię nikomu narzucać; więc się chyba domyślasz, że mię niewola liczne zaproszenia. Opiszę Ci swoje odwiedziny. Donieś że mi szczególnie o stanie swych funduszów, donieś tak jak do brej przyjaciółce, — bo przecież ja nią jestem dla Ciebie najlepszą. Zimne imię Ojciec ma coś zbyt poważnego i tem samym surowego; ale ja nie jestem taki. W tym liście posyłam bilet dla pana Zygmunta, bo pewnie jest w Warszawie przy pani Janinie. — Wielka Niedziela na tym gruncie przeszła mi samotnie, pisałem, a na przechadzce wy-patrywałem czy nie przyleciał jeszcze mój ulubieniec słówek wodny, śpiewak trzcin,

który się zowie w zoologii acrocephalus turdoides. Nie, są tylko już krętogłowy. Wieczorem przyszli parobcy śpiewać mi pod oknem — taki zwyczaj: wysłuchałem i dałem im pół rubla. Odwiedziłem żonę kamerdynera Jana, napisałem dziś parę przegód myśliwskich z jaguarem, na którego ma się rozumieć — nie polowałem nigdy, ale dużo o tem słyszałem w Brazylii i czytałem. Wczoraj pisałem w nocy do wpół do trzeciej, za to dzisiaj pójdę spać bardzo wcześnie. Ale, ale! mieliśmy krótką burzę, która zabiła chłopca na drodze (piorun) i zapaliła Niemcewiczowi stodołę, — z gradem. Masz wszystko! Nie chce mi się jutro jechać do Brzostowicy; sam nie wiem co zrobić. Szkoda czasu! Tymczasem całuję Twą buzię i oczka po milion razy i proszę, aby mię kochać.

Twój Adolf.

Massalany, dn. 30.IV.1899.

Pozdrawiaj, całuj, kogo można!

Wyhodował tu ogrodnik cudowne laki — szkoda, że Ci dać nie mogę żadnego; szczególnie kanarkowe są piękne jak róże — pierwszy raz widzę takie.

II

Najdroższa Moja!

Dziękuję Ci za krytykę przesłaną mi z feljetonu „Słowa”. Albo ja wiem, czy pan Siedlecki chwalił mię słusznie? Nie mam najmniejszego pojęcia o tem, co zrobiłem i jak zrobiłem. Naturalnie ma słuszność, mówiąc, że piszę za przedko, „dniówkę” i że to zabija robotę. Cóż począć, kiedy tak trzeba? Szczęśliwy jestem aż nadto, jeżeli mogę wydołać i napisać tyle, ile się daje sprzedać. Moja płodność zmniejsza się jednak. Od 1 Listopada przez sześć miesięcy napisałem tylko „Margielkę” powieść 1-o tomową i 2 nowe: „Łabędzie wody” i „Chama” dla Tygodnika. Nota bene do „Margielki” brakuje mi jeszcze dwa rozdziały, a do „Chama” około 50 wierszy, co zajmie maj do końca i może parę dni czerwca. Rezultaty pieniężne tego tworzenia są bardzo wątłe — coś 400 rs. W „Margielkę” włożyłem duszę i coś mi z tego. Tak ukochałem to dziewczę, jej nieszczęście, jej duszę i serce wypieściłem w sobie. Strach nawet sprzedać takie rzeczy! Gdybym był panem, oddałbym honorarium na szkoły chłopskie i na nagrody za wzorowe gospodarstwa chłopów. A tu muszę z duszy wyrwanymi pieniędzmi płacić długi. Jedynie szlachetnie użyty grosz jest ten, który daje wsi jedynaczce; bo ze mnie wyszło i wchodzi na powrót jakby w moją duszę. Jużem Ci chyba donosił, że nie piję wódki i piwa wcale, a wino tylko bardzo lekkie, stołowe. Była to konieczność, gdyż czulem w sobie dekadentyzm mózgu, i jak myślę, zapobiegłem temu. Tu jest wieś, a ze wsi wiadomości wysyłać nie można. Niech Cię więc zadowolą na czysto te jedynie wieści, które wpływają z serca bijącego dla Ciebie. No, ale rozumiesz Drogie Dziecko, jak trudno jest sercem mówić i jak pięknie jest wszelkie uczucie, które milczy. Powtarzać słowa, zszczęszone przez błaznów, o czem się wie tak dobrze, nie stanowi żadnej rozkoszy duchowej. Komplementów zaś dla Ciebie mieć nie mogę, gdyż ich nie potrzebujesz i brzydzisz się — równie jak ja — niemi. Siedzę w dużym pokoju na piętrze, patrzę w niebo jasne od gwiazd, w ogród ciemny od drzew

i rozmawiam z duchami, które posiadły moje serce, a niejednym z nich przebywa już w innych światach. Bywam u Ciebie i myślę: jak mi dobrze było, kiedyś Cię całowałem w oczka na dobranoc, albo — Ty mi mówiłaś dzieńdobry. Widzisz, Droga Córeczko, w owej niby to mściwości losu, który nas rozdziela, jest pewna konsekwencja mojego życia. Zważ to tylko dobrze, a zobaczysz, jak dla mnie jest ciasno w owej Warszawie — prawic, że czuję ramiona, które mię wypychają. Zresztą, czyżbym mógł na starość jeść nawet chleb jakiej synekury. Choćby mi dali — jak napewno nie dadzą — nie jadłbym. Powieścić się u klamki jakiego Lewentala?... I nie zaproponują i ja nie przyjmę. Zwłaszcza teraz, kiedy zostaję naprawdę weteranem życia, robię się ogromnie sztywny, uparty do śmierci głodowej raczej. Nie o sobie tu tyle mówię, ile pragnę wyłomaczyć się przed Tobą, usprawiedliwić to położenie, że ojciec, — opuszczam jednak swoje Dziecko ukochane. A cóż zrobić? Pójdę żebrac? Ja dumny i Tyś dumna. Nie dla żartów mówi się o jakichś zasadach. Społeczeństwo jest bardzo marne, ojczyzna biedna i tylko biedni jeszcze dźwigają jej sztandar. Wrzucmy go w błoto, a co zostanie? W tej literaturze — żydowszczyzna. Handlują patryotyzmem, religją, cnotami — wszystkim. Moralność sprzedaje się w dziennikach na funty, a w życiu jej niema. Potroszę, każdy z nas winien — bo w niedoli zawsze tak bywa — i ja się od winnych nie wyłączam; ale jednak nie chcę należeć do najwinniejszych. Piszę parę słów do Nory; to ciężko! Pisać do kobiety szlachetnej i pocieszać, kiedy nie można. Do jej lez można jedynie, swoje dorzucić. Umarł człowiek niepospolicie (*): miał serce gołębia i wielki umysł. W tej chwili czuję na sobie jego dobre oczy i uścisk dobrej ręki. Kocham Go za światem. Zegnam Cię, moja Najdroższa, powiedz Kostkowi (**), że często o nim myślę. Całuję Cię po milion razy.

Twój Adolf.

Wruda, 21.V.1900.

PRZYPISY

List pisany do córki z Massalan, należącego do ord. H. Bispingowej, z domu Hołyńskiej. Wzmiankowany w liście Kosciuszko — szwagier Konstanty Wyszowski. Ciotka — siostra Adolfa — Marja. Książkiewicz — pisarz gminny, Elżbięcina to folwark, należący do Jana Dygasińskiego, ojca Adolfa, położony w pow. Stopnickim, niedaleko Buska. Pani Janina i p. Zygmunt, czyli państwo Truskolascy, krewni żony; pani Janina Truskolaska z Narkiewiczów-Jodko, to siostra s. p. Witolda Narkiewiczów-Jodko. P. Wanda — p. Grochowicka, u rodziców której zamieszkiwała córka Ad. Dyg. Niemcewicz — sąsiedzi ord. Bispingów; w majątku mieli wielbłądy, używane w gospodarstwie jako siłę pociągową, co uważano za osobliwość. Książka dla dzieci i przygody myśliwskie, wzmiankowane w liście — to „Wielkie Łowy”, które pierwotnie były drukowane w r. 1900 na łamach „Przyjaciela Dzieci”, poczem ukazały się w wydaniu książkowym.

(Z. W.)

(*) Herman Benni.

(**) Konstanty Wyszowski, jeden ze szwagrów A. D.

WŁADYSŁAW
WOLERT

WYPRAWA DO BRAZYLII

Nie pamiętają już ludzie, a to dopiero 46 lat, jak zniesiono w Brazylii niewolnictwo. Z tego powodu wytworzyła się tam sytuacja krytyczna, bo zabrakło rąk do pracy, przede wszystkim na plantacjach kawy, która stała się głównym bogactwem Brazylii. Słabe zaludnienie olbrzymich obszarów brazylijskich pogarszało tę sytuację. Ręce do pracy i ludźcie do kolonizacji, to była najpilniejsza potrzeba rządu brazylijskiego. Po towar ludzki zwróciła się Brazylija do Europy. Przytem rząd centralny Brazylii, jako też i stanów poszczególnych, zaczął stosować system imigracji subwencjonowanej, to znaczy, że dostawcy towaru ludzkiego byli odpowiednio opłacani.

W roku 1890 rząd brazylijski zawarł umowę z niejakim Joachinem Caetano Pinto na dostarczenie do Brazylii stu tysięcy kolonistów. Pinto otrzymywał od głowy stokilka dziesiąt franków. A więc „żywy ładunek” czyli „żywy towar” — to był dobry interes, zyskowny interes. Iluż to przytem zarabiał! Od agentów naganiaczy, uwijających się po wsiach, a kończąc na towarzystwach okrętowych i maestrach Caetano Pinto, dostawcach żywego towaru, czyli nędzy ludzkiej. Ale zawsze na nędzy robiono interesy.

Emigrantów przewoziły za ocean przeważnie okręty hamburskich i bremieńskich linii nawigacyjnych. Większość tych emigrantów stanowili Polacy. Na nędzy, łzach i nieszczęściu tych biednych emigrantów polskich nie mieckie towarzystwa okrętowe porobiły świetne interesy, rozwój swój zawdzięczając naszemu emigrantom. Stwierdza to J. Okolowicz, badacz spraw emigracyjnych i pierwszy dyrektor Urzędu emigracyjnego w Polsce odrodzonej. Rząd brazylijski, subwencjonując imigrację, czyli płacąc od sztuki żywego towaru, pobudził towarzystwa okrętowe do rozpętania gorączki brazylijskiej. Rządy w Niemczech były przeciwne emigracji masowej Niemców do Brazylii. Towarzystwa okrętowe w pogoni za zyskiem zarzuciły sieci na ziemiach słowiańskich, a w szczególności polskie. Polacy bowiem w okresie rozbiorów znajdowali się niejako poza ochroną prawa.

Agitacja Santosa, generalnego konsula brazylijskiego w Lizbonie, rozpuszczającego po Polsce listy, drukowane w języku niemieckim, pełne obietnic, przesadzonych i fałszywych, głoszących prawdziwy raj na drugiej półkuli oraz akcja przedsięwzięcia okrętowych, działających na ziemiach naszych przez agentów i naganiaczy emigracyjnych, rozpętały pierwszą słynną gorączkę brazylijską. Wybuchła ona na początku roku 1890. Był to wyjazd z Polski masowy, i chaotyczny. Z planową emigracją zarobkową nie miał nic wspólnego, nie mówiąc już o tem, że był jaknajbardziej daleki od celowo zorganizowanego osadnictwa. A przytem ten nagły, chaotyczny i masowy exodus około 70 tysięcy osób dezorganizował rynek pracy na ziemiach polskich. Nie było to wskazane, co więcej, było to szkodliwe — w każdym z trzech zaborów — z punktu widzenia polityki polskiej. Agitacja, werbująca emigrantów polskich do masowego wyjazdu, była tolerowana przez rząd rosyjski. A przybierała ona takie rozmiary, że nawet zamożni właściciele sprzedawali swe gospodarstwa, aby dostać się do przyobiecanej raju brazylijskiego. Była to psychoza zbiorowa, umiejętnie wyreżyserowana i podsycana przez rekinów i spekulantów, żerujących na sytuacjach, wytworzonych przez konjunkturę gospodarczą.

Emigrant innych państw miał opiekę nie tylko swego społeczeństwa, ale i swego rządu. Za Włochem, który w pogoni za chlebem, opuszczał ojczyznę, śledziło troskliwie oko własnego rządu, aby w odpowiedniej chwili otoczyć go opieką. Każdy emigrant włoski otrzymywał ulotkę drukowaną, w której czytał: „Mój synu! Ojczyzna, macierz twoja, jest uboga; musi i pozwala ci wyjechać, byś mógł znaleźć w krajach zamożniejszych obfitą żywność i wysokie płace. Bądź jednak przekonany, że dla ciebie i twojego szczęścia poczyni wszelkie możliwe ofiary. Pamiętaj, że jakkolwiek mogłaby być biedna, ona zawsze jest twoją matką i kocha cię: zwracaj się do niej zawsze z całym zaufaniem”.

A cóż otrzymywał na drogę biedny, nieszczęśliwy, zahukany, nieznający języka



Adolf Dygasiński w drodze z Brazylii

chłop polski, który wyzbawiając się ojcowizny, aby opuścić często na zawsze — ojczyznę, wyjeżdżał zarazem z kraju niewoli, z kraju, w którym rząd sprawowała przemoc obca i wroga?

W podróży zdany był na łaskę losu i pi Jawek emigracyjnych, w strasznych przewożonych warunkach, dostawał się wreszcie do — piekła brazylijskiego. Rząd brazylijski był zupełnie nieprzygotowany na przyjęcie tak wielkiej liczby imigrantów. A przytem rząd ten był bez poczucia jakiegokolwiek odpowiedzialności. Brakowało miejsc w portach, w punktach rozdzielczych, brakowało baraków, nie było terenów wyznaczonych. Rozgoryczeni nieszczerzalnymi obietnicami, zdani na niełaskę administracji, niedołężnej i przekupnej, trapieni nędzą okropnych warunków, chłopci polscy szli ostatecznie na plantacje kawy, co było właśnie gorącym życzeniem plantatorów.

Wobec postępów cywilizacji i wymogów kultury, niewolnictwo ludzi czarnej skóry zostało zniesione, ale pozostało niewolnictwo białych — chłopów z Polski. Nie było wówczas trybunału na kuli ziemskiej, któryby stanął w obronie ich praw ludzkich. Zdani byli na łaskę srogiego losu i własnego nieszczęścia.

Więści, które z portów niemieckich i z różnych stron kraju zaczęły napływać do Warszawy latem roku 1890, zatrzwożyły społeczeństwo polskie. Tem więcej, że agitacja z zewnątrz i robita naganiaczy były zbyt widoczne. Dla zorientowania się w tem, jakie sprężyny poruszały emigrację brazylijską oraz jaką podstawę mają obietnice agentów, należało rzecz zbadać u źródła.

Inicjatywę w tym kierunku dał „Kurjer Warszawski”, który postanowił wysłać kogoś w charakterze korespondenta. Wybór padł na Adolfa Dygasińskiego. Wybór trafny ze wszechmiar. Dygasiński był już znany społeczeństwu jako publicysta, literat i doskona-

ly znawca ludu. Demokrata nie tylko z przekonania, ale i z serca, czuł potrzeby i niedole ludu naszego i znalazł w sobie jego duszę i życie, jak nikt inny. Był przytem od szeregu lat współpracownikiem „Kurjera Warszawskiego”, na którego łamach drukował swoje utwory literackie, bądź publicystyczne.

Gdy zdecydowano misję tę powierzyć Dygasińskiemu, bawił on w Rybieniu nad Bugiem, w gościnie u Kazimierza Skarżyńskiego. Oddany był całej pracy literackiej.

Nagle niczem deus ex machina zjawiał się w Rybieniu Franciszek Olszewski, ówczesny redaktor „Kurjera Warszawskiego” — i zaproponował ekspedycję do Brazylii. Dygasiński propozycję przyjął chętnie, przytem — wedle jego słów własnych — do Brazylii „nie wyjechał... jako turysta-podróżnik ani literat, lecz jako obywatel kraju swego”.

Obecnie podróż do Brazylii nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, owszem nawet bywa przyjemna. A „mamy wyjazdy przygodnych delegatów, którzy najczęściej z pluszowego siedzenia w wagonie lub na okręcie badają warunki klimatyczne, glebę, zarobki, pomieszczenia, opiekę społeczną lub karmią się milemi komplementami w gabinetach wyższej biurokracji”. Tak pisał niedawno inny badacz spraw emigracyjnych, który w administracji naszej zajmuje wysokie stanowisko.

Dziś dziennikarz, udający się na pola bitwy w Mandzurji czy w głąb Afryki ma liczne urozmaicenia, ale w iluż wypadkach chroni go opiekuńcze ramię własnego rządu! Chroni i — ulatwia. Jest często bezpieczniejszy, niż w zaułkach własnego miasta. Jego działalność bowiem leży dziś w płaszczyźnie międzynarodowej wymiany usług.

Ale przed czterdziestu sześciu laty była to — wyprawa. Zważyć trzeba, że chodziło o zbadanie machinacji wielkich spekulantów, żerujących na nędzy ludu polskiego i nieodolności rządu brazylijskiego.

Na wyprawę tę Dygasiński pojechał „z namaszczeniem misjonarza, który protestuje przeciw wszystkim, co jest podłe”. W wigilję przybycia do Rio de Janeiro pisze dn. 25 listopada 1890 w liście do żony: „...Marny Polak, pragnę zaprotestować publicznie przed całą cywilizacją świata przeciw ohydnej robitce handlowania naszym biednym ludem... przeciw sprawom, które się wloką poprzez całą ludzkość, którą się okuwa w kajdany w imię handlu kawą, bawełną, cukrem i t. d.”

Dygasiński wyjechał przez Toruń do Bremy. Wyjechał w tajemnicy, nawet przed rodziną, co do celu swej podróży. Z Torunia jechał 4-tą klasą razem z emigrantami, „chcąc — jak pisze w liście — mieć przedsmak tego, co później ma być na większą skalę”.

Razem z emigrantami wsiadł na parowiec München, należący do kompanii okrętowej północno-niemieckiego Lloyd'a i z portu bremieńskiego odjechał do Brazylii 5 listopada roku 1890 w towarzystwie grupy emigrantów, liczącej 2.500 osób.

Ale korespondencję zaczął nadsyłać do Kurjera zanim jeszcze wsiadł na okręt. Pier-

szą przysłał — z Bremy, opisując podróż wagonem czwartej klasy. „Ponieważ uchodzę za emigranta, więc poniewierają mną konduktorzy i szwajcarzy, a rzadko kiedy jest czas, aby się upomnieć o swoje prawa pasażera czwartej klasy”. A jak wygląda ten tłum biedaków, wygnańców polskiej nędzy, poszukawczy kawałka chleba i lepszej doli? Posłuchajmy, co pisze Dygasiński. Scharlottenburg. Sala dla wychodźców. „Olbrzymia sklepiona suterena, w której przy lichem oświetleniu wypozywa blisko 2 tysiące ludzi. W dużym żelaznym piecu pali się, a emigranci nasi pieką kartofle, inni zajadają chleb, albo rzucają się do snu na ziemię. W tym tłumie widać jakieś figury, przenikliwe śledząc i oglądające ludzi. Około godziny 10ej... istna wieża Babel! Jedni się modlą cicho, drudzy śpiewają na cały głos: „Kto się w opiekę poda Panu swemu...”

A potem biwaki w Bremie. „Polskich chłopów znajduje się tu z pewnością w tej chwili około 4 tysięcy — pisze w liście do żony — a nie masz pojęcia co za nędza między tymi ludźmi... Wszystko to zawzone, głodne, i sponiewierane, leżą w barlogu po 200 i więcej w jednej izbie. Na salach starego Banhofu w Bremie jest dziś 1500 ludzi wśród gnój”.

Przedsmak — raju brazylijskiego.

W korespondencji do Kurjera, datowanej 14.11. 90. z Teneryfy, pisze: „wdałem się w interesującą rozmowę z oficerem okrętu... emigranci nasi stają się własnością plantatorów, nie mających rąk roboczych, do uprawy trzciny cukrowej i kawy! To wszystko, co dostali w postaci wolnego przejazdu koleją lub na okręcie, co zjedli i wypili, nic nie płacąc, przyjdzie odpokutować zupełną utratą wolności, jeśli się kosztów nie zwróci. Wyślą ich w okolice puste, może błotniste, gdzie panuje żółta febra, a ich panowie przyszlą się to zbiory, przyzwyczajone do niewolników, których im dziś zabrakło... Co można najgorszego — dziś się dopiero dowiedziałem, tak dyskretnie wszystko kryją pod kocem”.

Te wiadomości spadły jak grom na społeczeństwo polskie.

Oczywiście, że już te wieści, które Dygasiński nadsyłał z drogi, zaalarmowały społeczeństwo polskie i wywołały niepokój wśród tych, którzy z emigracji ciągnęli zyski. W Brazylii Dygasiński zastał sytuację dla chłopstwa polskiego wprost okropną.

— Więc wam źle w Brazylii?

— Nikomu na świecie gorzej już być nie może: ostatnia nędza i straszna kara boska za jakieś nasze grzechy!

W dwa lata później „Republica” organ oficjalny rządu parańskiego pisał, że „biedni emigranci napchani w ciasnych barakach, w niehygienicznych warunkach, źle wyżywieni mrą po 8 do 10 dniem”.

A co się działo przed tem — zanim Dygasiński przyjechał do Brazylii i w czasie jego tam pobytu?

To, co Dygasiński zobaczył w Brazylii, wzburzyło go jako Polaka, poruszyło w nim wszystkie instynkty człowieka, reagującego na niedolę ludzką. Zapalił się do swej sprawy jaknajgoręcej.

„...nigdy może drugi raz — pisze 6.XI. 90 z Brazylii do Antoniego Sygietyńskiego — nie doświadczę już takiego wielkiego, bezwzględnie zajęcia się większą sprawą, jak tego doświadczam obecnie. Chłop polski na obczyźnie, rzecz dla mnie nadzwyczajna; nie miałem pojęcia, aby ten barbarzyńca miał takie zapasy wyobraźni, czuł w sobie nieświadomie taki ogrom siły, iż bez grosza często, boso, w dziurawej kapocie, z kupą dzieci i babą, rzuca się na najśmielsze przedsięwzięcie — to imponuje. Niemcy rozdziałają gęby i nie mogą w swych mózgach znaleźć wyjaśnienia tej sprawy. Ich emigracje są systematycznie uporządkowane, robi się je z rozmysłem głębokim: każdy zgóry wie, co i jak. A tu wali fala nędzarzy, którzy siebie samych tylko niosą swój ogromny animusz i tym chcą świat podbić. Warunki zewnętrzne coś znaczą, ale tylko jako pobudka; człowiek jest miarą tego, co robi. Wspaniałe są te chłopcy, rosłe jak cedry, dziewczki jak łanie z nimi; w barlogu i wśród wszy tańczą przy odgłosie skrzyptków... Już to chamy są tęgie, rekomendują się tu czasem tak, że padam do nóg... ale solidarność kupy jest nadzwyczajna. Na chłopca, którego okradziono gdzieś koło Torunia, wszyscy się złożyli i je-



Adolf Dygasiński na pokładzie statku „München” w drodze do Brazylii

szyże zarobil na stracie. W tej masie biedaków, panuje poczucie, że człowiek z gromady nie trzeba uronić".

To, co Dygasiński w Brazylii zobaczył i o czym donosił w korespondencjach do „Kurjera” poruszyło opinię społeczeństwa polskiego.

„Czy czujesz — pisał w liście z Brazylii do Stanisława Witkiewicza dn. 13. XI. 90 — bezwiedne uczucie rozpacz narodowej a świadomą nadzieję lepszego bytu i wiary we własne siły? Zalewajmy Brazylię, skoro w stosunkach europejskich wypłynąć nawierzchnie nie można!” — Mimo, że Dygasiński wdział w Brazylii sceny dantejskie, które przeżywał z naszym chłopstwem, miał przecucie, a nawet intuicyjne zrozumienie potrzeby planowego osadnictwa i kolonizacji.

Stosunek do rzeczy i alarm wywołany za pomocą prasy, zaniepokoił rekinów emigracyjnych nie na żarty. Rozgłos, który wokół emigracji polskiej w Brazylii zrobił Dygasiński swemi korespondencjami, spowodował, że otrzymał od New York Herald'a propozycję nadsyłania artykułów na ten temat. Nie przyjął propozycji, kierując się względami dale-

ko posuniętej lojalności w stosunku do „Kurjera Warszawskiego”. Z drugiej strony uczyniono zamach na jego życie, bo — pisał bez obsłonek i...psuł interes na „żywym towarze”.

W liście do St. Witkiewicza pisany w drodze powrotnej dn. 15. I. 91 na parowcu „Montevideo”, nadmienia: „W strasznej byłem poniewierce, więc wszelkie ludzkie słowo rzucalo się zapachem na moją duszę. Żyję jak pies, gonię trzy miesiące za chłopami po oceanie, wyspach, zatokach, wertepach; wszędzie znajduję nieszczęśliwych, obdarte, znędznianych, zrozpaczonych. Można by zrobić rewolucję z Polakami i zdobyć Brazylię; ale tego oni się też tu boją i tak ludzi rozrzuć, rozbili na kupki, że jeden od drugiego rozdzielony morzem i nieprzebytymi borami. — Mnie wkońcu zmaltretowali w gazetach strasznie, a wreszcie puścili w me ślady policję. Biedny, bez środków człowiek i bez przyjaciół, bo to ważne, nic nie robi na tych przestrzeniach”.

Nie łatwą miał pracę korespondent „Kurjera Warszawskiego”.

Ale to, co pisał, drgało tragizmem praw-

dy, obnażalo krwawiącą ranę. W jego ślady podążyli potem X. Z. Chelmiński i Ks. Glinka, ale już w innych warunkach materialnych, komfortowo odbywanej podróży.

Oprócz korespondencji nadsyłanych do „Kurjera”, które ukazały się później w edycji książkowej (Listy z Brazylii), na tle wyprawy brazylijskiej napisał Dygasiński jeszcze powieść „Na złamanie karku (1891), broszurę „Czy jechać do Brazylii (1891), potem nowelę „Klawiszewski i Różia (1891), „Opowiadanie Kuby Cieluchowskiego o emigracji do Brazylii” (1892), „Wigilia w Superagu” (1901).

Jego listy z Brazylii są reportażem. Rzeczywistość chwyta na gorącym uczynku. „Ja jestem niby korespondentem — jak pisze w liście do St. Witkiewicza, — ale tak się przejąłem duchem tej ludowej emigracji, tak mi się nie chce puszczać żadnej literackiej i dziennikarskiej blagi, że nie wiem, co są warte moje korespondencje”. — Korespondencje były dużo warte, bo były samem życiem. Poruszyły opinię, a o to chodziło. Były zara-

zem drugim zkolci reportażem w dziennikarstwie polskim XIX wieku. (Ojcem bowiem pierwszego reportażu polskiego jest Teodor Tomasz Jeż, który włócząc się po Balkanach w przebraniu zebrał, zebrali kapitalne obserwacje, które nadsyłał w korespondencjach najpierw do lwowskiego Dziennika Literackiego (w r. 1856), a od roku następnego do „Gazety Warszawskiej”. Dopiero w dwa lata po Dygasińskim nadsyła Sienkiewicz do „Gazety Polskiej” swoje „Listy z Afryki”, przyczem przechodził emocje raczej myśliwskiej natury. Ludwik Krzywicki wybrał się za ocean (U. S. A.) w r. 1893. Z tej podróży nadsyłał korespondencję, ciekawie zresztą, do „Prawdy” i „Gazety Polskiej”. Ale były to spostrzeżenia bystrego i uczonego obserwatora — nie zaś chwyta na gorąco tragiczne sceny z niedoli chłop polskiego, rzuconego na falę międzynarodowego wyzysku. Korespondencje Dygasińskiego, był to reportaż w dużym stylu, nie tylko w ówczesnych warunkach. Może on zaimponować nawet dziś. Zwłaszcza, jeśli zwrócimy uwagę na warunki w jakich się wówczas znajdowała prasa polska.

JAN MUSZKOWSKI

Z KORESPONDENCJI A. DYGASIŃSKIEGO

Pośród szpargałów, w których się grzebię, natrafiłem na listy Adolfa Dygasińskiego w trzech miejscach: w archiwum wydawniczym firmy Gebethner i Wolff, oraz w dwóch kompleksach archiwalnych Biblioteki Ord. Krasieńskich, w korespondencji Leopolda Meyeta i w papierach, dotyczących działalności wydawniczej F. S. Lewentala, zwłaszcza tygodnika „Kłosy”.

Korespondencja z firmą Gebethner i Wolff pochodzi z lat 1872 — 1898 i dotyczy najpierw działalności wydawniczo-księgarskiej Dygasińskiego, a następnie jego własnych prac pisarskich. Wydawnictwo i księgarnia w Krakowie, których dokumentami pozostały katalogi, wydane w 1875 i 1876 r., upadły, przynosząc Dygasińskiemu dotkliwą stratę. Podzieliły one los podobnych przedsięwzięć wybitnych pisarzy, jak Józef Ignacy Kraszewski, Eliza Orzeszkowa i in., prowadzących swe interesy ideowo, a nie po kpięku.

W 1872 r. rozpoczął Dygasiński do spółki z B. Malują wydawnictwo Biblioteki Umiejętności Przyszłości, pod kierunkiem komitetu, składającego się z profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, i pod redakcją Ludwika Masłowskiego. Wyszły drukiem dwie prace: J. Tyndall. Ciepło jako rodzaj ruchu, oraz W. Wundt. Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej (1872 — 73). Oprócz tego zamierzono wydawanie serji dzieł popularno-naukowych, przeważnie przyrodniczych. Jako pierwszy tom wyszła praca Bolesława Lustostańskiego p. t.: „Higjena zastosowana do życia prywatnego i społecznego, oraz do rzeczy krajowych” (Kraków, 1873—74). Otóż tę właśnie serję pragnie Dygasiński oddać na skład główny firmie Gebethner i Wolff, proponując 30% rabatu. Na liście znajdujemy notatkę Roberta Wolffa: „Z przyjemnością przyjmuje propozycję”. Co do Biblioteki Umiejętności Przyszłości, to wydawcy mieli już uprzednio umowę, wiążącą ich z czasopismem Przyszłość i Przemysł w Warszawie. Był to tygodnik popularno-naukowy, założony w 1872 r. przez Bronisława Reichmana, redagowany następnie kolejno przez Karola Hertza, Józefa Lessmana, K. Jurkiewicza; wychodził, o ile mi wiadomo, do 1880 r. Dygasiński ma wielkie kłopoty z administracją tego tygodnika i pod koniec 1873 r. zrywa z nią stosunki, przekazując wydawnictwo firmie Gebethner i Wolff. „Raczej WPanowie — pisze do nich — możliwie uregulować rachunek z Biblioteką, abym raz wybrnął z tego labiryntu, w jaki mnie Przyroda i Przemysł wprowadziły tak, iż nigdy nie wiedziałem cyfry prenumeratorów; gdy w jednym liście... dochodziła 350, w drugim przekraczała ledwie 200”. Prosi o jaknajszysze działanie, „ponieważ zamykając rok wydawniczy, winienem wylegitymować się wobec moich współników, a nie mając żadnej liczby danej, nie wiem nawet, wiele i za co z własnej kieszeni mam dołożyć...”

Dalsze kłopoty powoduje po paru latach udział w spółce, która wydawała od 1876 r. czasopismo M o d a w Krakowie. Wycho-

dziło ono na podstawie jakiegoś układu z Victoria-Verlag w Berlinie, prawdopodobnie dodawano tekst polski do ilustracji niemieckich. Poważnym odbiorcą było znane warszawskie biuro komisowe J. Ungra. Z tytułu dostarczania czasopisma wynikł z Ungrą zatarg, którego konsekwencje spadły znowu na Dygasińskiego. Prosi zatem firmę Gebethner i Wolff o pośrednictwo: „Rozumiecie dobrze WPanowie, jak przykrem jest moje położenie, zwłaszcza iż poniosłem już kilkakrotnie takie dotkliwe finansowe straty...” Odnosi się do nich z najzupełniejszym zaufaniem i usprawiedliwia swą niekompetencję: „Proszę przebaczyć mi niedokładności, jakich się dopuszczam mogę z powodu mojej niezajomości handlu księgarskiego i wogóle do niego odnoszących się stosunków. Z wdzięcznością też każdą Ich w tej mierze uwagę przyjmuję...”

W lutym 1891 r., wkrótce więc po swym powrocie z Brazylii, pracuje w Zagrodach w Kieleckiem nad jakąś serją prac dla Gebethnera i Wolffa. „Obawiam się mocno, czy

nie dotrzymanie mojej umowy w pierwszym kwartale, a z powodu tak nadzwyczajnego (podróż), nie wpłynęło na osłabienie Waszego dla mnie bardzo cennego afektu. Wierzę mi jednak, iż podwoję teraz usilność i gorliwość, by sobie zasłużyć w dalszym ciągu na Waszą przychylność”. W tym samym czasie pisze Robinsona Polskiego. Prosi, aby nie powierzali recenzji rękopisu jakiemuś literatowi, jak to było w zwyczaju firmy, lecz „pozwolili mi go samemu przeczytać wobec np. p. Głowackiego i Keniga, dwóch ludzi, których mam powody cenić, a jeśli zechcecie, to i p. Korotyńskiego. Ja pracuję starannie, a krytyk czyta łatwo, więc się nieraz trafia, że ktoś ode mnie wymaga sam nie wie czego, jak to było i z „Jak uczyć się i jak uczyć innych” (wydane przez Gebethnera i Wolffa w 1889 r., lecz po dwuletnim przeleżeniu rękopisu u wydawców) ...Pochlebiam sobie, iż będzie to pierwsza oryginalna polska książka, dotycząca spraw moralnego wychowania w taki sposób, jak je pojmuje dzisiejsza pedagogika”.

Korespondencja z Meyetem jest krótka i mało znacząca. W 1885 r. donosi mu Dygasiński, że nowela „Na zwłokach zwierzęcia” jest ukończona i prosi o przybycie do niego w celu wspólnego jej odczytania. Meyet noweli nie drukował (była ogłoszona w „Wędrowcu” w 1886 r.), lecz dał mu 50 rb. za liczkę, o której autor wspomina kilkakrotnie w dalszych listach, prosząc o strącenie jej z honorarium za jakiś dłuższy rękopis, przeznaczony prawdopodobnie dla Spółki Wydawniczej, prowadzonej przez Meyeta.

Natomiast stosunki z Lewentalem są dosyć ożywione w latach 1887 — 1892. Wprawdzie kilkakrotne propozycje wydawnicze Dygasińskiego nie zostały zrealizowane, ale w 1889 r. ofiarowano mu jakąś stałą posadę w redakcji, czy to K ł o s ó w, czy też K u r j e r a W a r s z a w s k i e g o, z placą 50 rb. miesięcznie. Dygasiński odmawia, gdyż pensja byłaby niewystarczająca, a przytem: „jako figura dostatecznie i n g r a t a w pewnych sferach, mógłbym obecnością swoją narazić Wasze pismo, przynajmniej zrzuca, na szwanki w prenumeracie, co by mię kosztowało bardzo dużo”. Zgadza się natomiast na prowadzenie jakiejś „stałej rubryki” w K ł o s a c h. Podczas pobytu w Zagrodach w 1891 r. opracowuje broszurę przeciwko emigracji do Brazylii: „dalsze prace pójdą pospiesznie, bo samotność jest konieczna, aby sumować wrażenia duszy”. Autograf broszury znajduje się w archiwum, wraz z różnemi papierami, dotyczącymi podróży do Brazylii, podjętej, jak wiadomo, na koszt Kurjera Warszawskiego.

„Materiały do romansu społecznego (powieści) pn. „Gorzalka” zebrałem — pisze we wrześniu 1892 r. — i mogę w ciągu 4 miesięcy dać tom I-szy do druku (około 20 arkuszy), a w ciągu takiego samego czasu nastąpi wykończenie i tomu II-go. Nie wiem, czy jesteście...usposobieni do nabycia tej mojej pracy, do której same studia kosztowały około trzech lat czasu. Zebrałem materiały w gorzelniach, dystylarniach, szynkach i handlach w celu wykazania rozkoszy i cierpień, które alkohol sprawia jednostkom, rodzinie, społeczeństwu. Jeżeli byście wogóle życzyli sobie nabyć ode mnie „Gorzalkę”, to dopiero po Waszej deklaracji w tej mierze usiadłbym do stylizacji”. Żąda honorarium po 25 rb. za arkusz druku. I ta propozycja nie została przyjęta: „Gorzalkę” wydała w 1894 r. redakcja P r z e g l ą d u T y s g o d n i o w e g o.

Dygasiński czyni w tym samym czasie jeszcze jedną próbę: zwraca się do Lewentala z projektem odbycia nowej podróży, tym razem do Argentyny. Pomimo wielkiego powodzenia reportażu brazylijskiego, rzecz nie dochodzi do skutku, i już po paru miesiącach obejmuje „kondycję” w Młynowie na Wołyniu: „...wziąłem się znowu do helferki, ponieważ literatura, mimo dużej pracy z mej strony, licho mi służy. Obuczam i wychowuję młodego hrabiego (Jana Karola) Chodkiewicza... Chłopiec już starszy (18-to letni), dostatecznie pilny i wcale nieźle wychowany...” Tak się pociesza świetny pisarz i wytrwały pedagog, przykuty znowu do taczki nauczyciela domowego.



Ilustracja Kamila Macklewicza do „Godów życia”

ZOFJA
WOLERTOWA

TEKA POŚMIERTNA A. DYGASIŃSKIEGO

1.

Na materiał rękopiśmienny, jaki pozostał po moim ojcu, składają się: 1) rękopisy utworów już drukowanych, 2) bruliony rozmaitych utworów, też drukowanych, 3) bardzo liczne urywki różnych utworów, zazwyczaj w kilku wersjach, 4) rękopisy utworów niedrukowanych oraz 5) listy.

Teka listów, będących w moim posiadaniu, zawiera obecnie 356 sztuk. Jest ona w miarę możności kompletowana. Znajdują się w niej listy do narzeczonej, pisane w latach 1865 — 1871, niezmiernie ciekawe z uwagi na to, że nie tylko rzucają światło na ówczesną duchowość Dygasińskiego, ale charakteryzują jego stosunki i społeczeństwo. Listy do żony, pisane w ciągu lat dwudziestu, począwszy od roku 1878, zamykają się liczbą 122, i poruszają najprzeróżniejsze sprawy w potoku zdarzeń życiowych; przeplatane są dygresjami natury literackiej. Teka listów do córki, pisanych niemal do końca roku 1901, zawiera sztuk 191. Stanowią one bardzo cenny materiał nie tylko społeczno-obyczajowy, ale i literacki w ogólniejszym znaczeniu. Z Podola np. pisze list, w ten sposób tę polską kraja charakteryzując: „Podole jest to kraj buraków i cukrowni, więc ma swój charakter, gdyż sprawy przygotowywania słodczy wyciskają i na ludziach bardzo specyficzne znamię. Zeby to krótko wyrazić, powiem: od każdego wieje geszefciarstwo. „Jesteś burak i w cukier się obrócisz”. W tych listach ojciec mój nieustannie też porusza sprawy twórczości wogóle lub też zajmuje się utworami, które właśnie akurat miał na warsztacie. Gdy pewnego razu zapytałam go, jakie są warunki wewnętrzne pracy pisarskiej, w obszernym liście wyklada mi swój pogląd na tę kwestję, tak żywo go obchodzącą. Pozwolę sobie przytoczyć drobny ustęp z tego listu. „... jeżeli się trzeba zmuszać, — pisze — jeżeli potrzeba szukać ciągle po głowie konceptów, jeżeli Cię to nie bawi tak, że się sama śmiejesz albo płaczesz (bo wszystko jedno, jak się kto bawi, niektórzy lubią chodzić na tragedje) — to lepiej nie, daj pokój! Jeżeli nad każdym tematem trzeba tylko głowę łamać, wymyślać sceny, naciągać, dostosowywać i jeżeli robota taka nuży, męczy, nie daje zadowolenia, to jest w sobie samej dla twórcy krytyka, że robota ma małą wartość. Pierwszy warunek jest ów pociąg, co mu się oprzeć nie można, rozkosz, zabawa w swojej własnej robocie. — Rzecz prosta, ja Ci tu żadnych oklepanych przepisów nie daję, tylko to, co mam w sobie, czegom jeszcze nikomu nigdy nie powiedział, gdyż nie było potrzeby. Radzę się swojej duszy i gdy mi powie „tak”, to tak, choćby ludzie... przyjaciele i nieprzyjaciele... powiedzieli „nie”. Niema też na świecie żadnej innej krytyki, oprócz tej jednej. Co o mnie piszą, to mi pomaga lub przeszkadza sprzedawać robotę, ale to nie ma dla mnie nigdy za groź wartości; ani mnie cieszy, ani martwi, ponieważ smutek i pociechę ze siebie samego tylko czerpię i w robocie ją znajduję. Nie jestem z siebie ani dumny, ani się sobą dręczę i zajmuję; ja tylko robię to, co dla mnie ma wartość, a jeśli przypadkiem jest to dobre jeszcze dla kogoś... to dobrze. Otóż, tylko dla siebie samej możesz robić, jeżeli chcesz zrobić coś dobrego. Robiąc dla świata, nie zrobisz nic nigdy”^{*)}.

Cenne wyznania pisarza, rzucające ostre światło na mechanizm jego twórczości, na jego samodzielność, co do której pierwsza boda p. Aniela Gruszecka w swoim ciekawym studjum „O Powieści”, wypowiedziała zdanie: „Dygasiński to chyba najoryginalniejszy i najsamodzielniejszy artysta w owym pokoleniu pisarzy”. („Przegląd Współczesny”, r. 1927). Krytyka współczesna, której społeczną atmosferą ideologiczną nastawiona była na ton czułościwego pisania o niedoli ludu wiejskiego czy miejskiego, nie wiedziała co zrobić z pisarzem o tak bezwzględnie ostrem widzeniu rzeczy i realistycznym ich malowaniu. W wielu więc wypadkach, w tej epoce szlacheckiej powieści, zadawano się sądami o „pisaniu dla chleba” (miły Boże! co za obłuda: którzy literat zawodowy nie pisuje — dla chleba?!). Tymczasem ojciec mój, żyjąc z pióra, pisał

^{*)} Duży fragment z tego listu, zajmujący całą szpalte w druku, podałam do wiadomości czytelników w dodatku liter. artyst. „Narodu” (Nr. 15, 24. XII. 1920).

tylko to, co dla niego miało wartości, a jeżeli — jak powiada, — było to przypadkiem dobre jeszcze dla kogoś... tem lepiej.

W tych listach, pisanych do mnie, jest oczywiście wiele także materiału, dotyczącego różnych osób, stosunków i środowisk, bo pisywał nie tylko do kraju, ale i z Petersburga, Czech, Niemiec, Francji południowej, gdzie bywał różnemi czasy.

Teka listów zawiera jeszcze, oprócz kilku, napisanych przygodnie do paru osób, trzech listów do państwa Gruszeckich (dwa do Artura Gr., jeden do pani Arturowej Gr.), zwróconych mi uprzejmie przez p. Anielę z Gruszeckich Nitschową, ciekawy zbiór listów w liczbie siedemnaście do Stan. Witkiewicza,

przyszłego biografą, jak się wyraził w jednym z listów do A. Dyg. W zbiorach swoich posiadam tylko jeden list mego ojca do H. Benniego, pisany w r. 1900 z Petersburga. Ogłosiłam go w „Ruchu Literackim” (r. 1932, Nr. 5). Dostał się do rąk moich dzięki wysokiej uprzejmości prof. Franciszka Bielaka, polonisty z Krakowa, który otrzymawszy ten list od p. Tytusa Benniego, pośpieszył mi go przesłać.

Korespondencja z Witkiewiczem, bardzo ciekawa i pełna tematów literackich, została omówiona przez mego męża w „Pamiętniku Świętokrzyskim 1930” (Kielce, 1931).

Listy do Sygietyńskiego pełne humoru, dowcipu i nieraz finezyjnej złośliwości o

się, że mię to cieszy, wyobrażam sobie, co to za anonimy muszą być o Dygasińskim... Ja przez cały dzień piszę, potem oblatuję międzę, jak w „zamyśle”, albo z ojcem maluję bryczkę na brązowo z czerwonymi szprychami i wtedy prowadzę dysputy estetyczne. Nie jestem też wolny od wstrząśnień moralnych: żrebię złamało nogę, psa prześlicznego zastrzelili, bo się wściekł, a lizał mię na dzień przedtem, więc się może i ja wścieknę. Cóż chcesz, nigdy nie byłem zbyt daleki od tego. Co się tyczy „Glosistów”, masz zupełną słuszność. Nasze nerwy cierpią, gdy zawadzą o systemat mięsniowy lub kostny, który nam smakuje tylko na zębie; np. jeśli się to za lewa butelką Montrache’a. Madonna jest pewnie już w domu i opowiedziała ci o piwnicy Rajzy w Nowem Mieście Korczynie. Co za wino, co za wino! Dusza moja wdychała do serca przyjaciela, tak że Madonna musiała wypić cały kieliszek. Miałem kłopot tłumaczyć jej zasady elementarnej zoologii i botaniki: żółta pliszka wzięła za kanarka, dziękiego gołębia za wronę; jęczmień, owies, żyto i pszenica... to „wszystko jedno dla takiej”. Pękalem ze śmiechu, a kiedyś to robił, ona ze łzami w oczach zaklinała mię, abym Ci o tem nie donosił: — Szyderczy język Antoniego! Donoszę jednak w tej nadziei, że wyrazisz nie szyderstwo, ale współczucie głębokie dla zacnej skądinąd niewiasty...

List ten jest datowany w sposób następujący: „co ci po dacie”. Koperta się nie zachowała. Datę więc można ustalić tylko w przybliżeniu. Ze wzmianki o komplementach, otrzymanych z Krakowa z powodu „Złodziei”, drukowanych podówczas w „Nowej Reformie”, przypuszczać można, że list pisany jest w maju r. 1890, bo właśnie tego roku w końcu kwietnia zaczęła się drukować ta nowela ojca, a skończyła się w pierwszym tygodniu maja.

Cała ta teka zawierająca kilkaset listów jest przeze mnie katalogowana i opracowywana.

2.

W zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Publicznej znajduje się teka listów A. D. Składają się na nią 2 karty pocztowe i 15 listów. Obejmują one okres czasu od 29.2.84 do 22.1.96. Trzynastę listów pisanych jest do A. Wislickiego, red. Przegl. Tygodniowego, przeważnie w sprawach związanych z dostarczaniem rękopisami lub o honorarium. W jednym z listów (9.9.89) inicjuje wydanie podręcznika hist. liter. polskiej Bema; w dwu listach z 11 i 12 st. 1887 odmawia współdziałania w pracy łącznie z A. Peretzem. Pisze: „...nie mógłbym żadną miarą wchodzić w kombinację, w której p. P. miałby najmniejszy udział... Używa (on) bardzo smutnej reputacji i ktokolwiek z nim coś przedsięwzię, musi też część owej opinii podzielić”. — List do Konopnickiej (29.2.84) pisany w sprawie p. Zofji Grabowskiej, jako ewentualnej współpracownicy „Switu”; list z datą 4.2.93 niechybnie do Ronczewskiego, wydawcy „Kalendarza Myślińskiego”; karta poczt. (22.11.93) do Kon. Wolskiego i list z dnia 12.9.86 z wątpliwym adresem.

P. red. Br. Korotyński uprzejmie użyczył nam 10 listów, znajdujących się w jego posiadaniu, a pisanych w okresie czasu 1891—96 do Fran. Olszewskiego, redaktora „Kuryera Warszawskiego”. Listy te dotyczą przeważnie utworów, które miał na warsztacie (Na złamanie karku, Kwiatek, As, Zaułki).

3.

Od p. H. Sygietyńskiej, drugiej żony A. S. i p. A. Machnickiej jego córki otrzymałam urywki rękopisów Łabędziej Wody, Margieli i Margieli, Dla szczęścia oraz cały rękopis Godów Zycia. Jest to gotowy do druku rękopis Godów, zawierający str. 141. W tej redakcji utwór nie był jednak drukowany, bo autor napisał drugi tekst, mający w różnych miejscach odmiany i większy o 10 stron, i dopiero ten tekst poszedł do druku. Co się tyczy urywku (20 str.) noweli „Dla szczęścia”, to rękopis robi wrażenie, że był w drukarni. Utwór ten jednak nie wszedł do żadnego wydania książkowego; nie uchwyciła go także bibliografja pierwodruków, opracowana przez mego męża.

Korzystam ze sposobności, aby na tem miejscu serdecznie podziękować pp. S. i M. za zwrot tych rękopisów.



Adolf Dygasiński, Stanisław Mieczyski i Antoni Sygietyński

który po śmierci mego ojca wręczył mi osobście wszystkie listy, jakie posiadał. Listy (17), pisane do Antoniego Sygietyńskiego, zawdzięczam dużej uprzejmości p. Aleksandra Sygietyńskiego, syna, który mi je doręczył, znalazłszy po śmierci swego ojca w papierach rodzinnych.

Niestety nie posiadam, listów pisanych do Stanisława Mieczyskiego, z którym mój ojciec żył w wielkiej przyjaźni. Uległy one podobno zniszczeniu, jak mnie za swego życia objaśnił p. Stan. Miecz., który korespondencji swej, z powodu kilku rewizji, przeprowadzonych przez policję rosyjską, nie przechowywał. Nie wiem też, co się stało z listami do Hermana Benniego^{*)}, który korespondencję mego ojca chował, „bo się przyda dla

^{*)} Hermann Benni, z którym ojciec mój żył w bliskiej przyjaźni, był to człowiek niepospolity. Lektor języka angielskiego w uniwersytecie warszawskim, człowiek o niezwykłej wiedzy założył wraz z Piotrem Chmielowskim miesięcznik „Atennum”; był także założycielem eksperymetalnej szkoły polskiej (1880 — 85), zamkniętej przez Apuchtina. W tej szkole wykładał mój ojciec wraz z Mieczyskim, Nalkowskim, Wł. Smoleńskim, Ign. Radlińskim i in. Pisałam o niej w „Przeglądzie Pedagogicznym” (1924, zes. 4), podając jednocześnie przemówienie Dygasa przy zamknięciu roku szkolnego, wygłoszone wobec uczniów oraz ich rodziców i opiekunów r. 1882. Wspomnienie ucznia z życia w tej szkole opisał Benedykt Hertz („Gazeta Polska, 17. VII. 1932) w art. „Dygasiński — Pedagog”.

współczesnych, mają także różne partje dotyczące literatury wogóle, często własnej twórczości.

Dla przykładu przytoczę ustęp następujący: „Mój Antku! Na dowód, że list Twój jest dla mnie gazem rozwesalającym, odpisuję nań natychmiast. Wspominałem Cię wielokrotnie: niedawno, zając się z ojcem głowizną i popijając sznappsem. Od St. W. (itkiewiczza) miałem list... sławi Twoją krytykę muzyczną w „Glosie”, nazywa ją świetną; ja bo nic nie czytuję, oprócz własnych rzeczy, które tu tworzę. Materjały zbierał cudowne, mógłbym niemi pisać list do Ciebie. Ostatnia rzecz o „zamyśle” jest przepiękna („zamyśl” znaczy tyle, co obłąd) opowiadał mi ją ojciec zrozpaczony (Wijas z Niewachłowa) o własnym synu, który od kilku lat ma „zamyśl” i zdziera corocznie 3 pary butów, a nic nie chce robić, „tyła lata po polach, po boru, znajdzie papier jaki, to czyta ceńniak, albo gada do siebie... o retyl! A niema woli boskiej, żeby go zabrać, albo co... wstyd tyła czleku”. Z Krakowa od „Nowej Reformy” odebrałem tegie komplementy za „Złodziei”; pisze Pawlikowski, że moja nowela prowadzi się w Krakowie rozmowa podczas wyborów:

- Czyś ty prorok?
- Jak trza, to i prorok.
- To powiedz, kogo wybiorą i t. d.

Ale tłum i Stańczyki jadą po mnie strasznie, zarzucają redakcję anonimami. Rozumie

4.

W spuściznie rękopiśmiennej, która się u mnie zachowała, znajdują się jeszcze rękopisy dwu utworów, zupełnie nieznanymi. Jeden to 370 stronicowy (wymiar 22 x 36 cm.) „Opis Imprezy wojennej Imc pana Alberta Milicerego konsula, alias burmistrza biskupiego miasta Bodzantyna contra insolentiam tyraniej króla szwedzkiego Karla Gostausa”.

Utwór ten ukazał się w szacie drukowanej, staraniem przyjaciół w dwudziestu pięciu tylko egzemplarzach w roku 1894 i rozdany był właśnie bohaterom opisanym w „Imprezie”. Pięknie tłoczony u Anczyca na papierze czerpanym, jest to dziś biały kruk, rzadkość, mogąca uradować zazdrosne oczy bibliofilów.

Jakkolwiek występują tam między innymi: Napoleon Milicer, Antoni Sygietyński, Stanisław Mieczysławski, ksiądz Chelmiński, Niedźwiedzki, dr. med. Józef Peszke, Piotr Chmielowski, Adam Breza, Edward Lubowski, Olendzki, Lilpop, prof. Ed. Poznański, Herman i Karol Benniowie, Gebethner i Wolff i t. d.), oczywiście i sam autor, — szersza publiczność o tym utworze nie wiedziała zgola zupełnie. Był nawet nieznanym dla większości historyków literatury i krytyków. Z ich grona tylko dwu we wspomnieniu pośmiertnym o Dygasińskim wzmiankowały o „Imprezie”. Jeden to Piotr Chmielowski, zresztą także bohater tego nieznanego utworu, a drugi — Władysław Jabłonowski, który w „Gazecie Polskiej” (1902) nadmieniał o „tryaskającej humorem książeczce, napisanej wyłącznie dla przyjaciół p. t.: „Przygody Imc pana Milicerego”.

Utwór ten Dygasińskiego, pisany prozą wieku siedemnastego został ujawniony szerszemu ogółowi czytelników dopiero przez wspomnianego już przemennie prof. Franciszka Bielaka, który w rozprawie p. t.: „Ostatnia wyprawa Albertusa” (Kraków, 1925, odbitka z 6 zes. Ex Librisu), omawia jego treść i cechy charakterystyczne.

P. Bielak nadmienia, iż „przypuszczenie, że pisząc „Opis imprezy” miał Dygasiński zamiar przeciwstawienia rycerskiej Polsce sieniawickiego „Potopu”, mieszczańskiego, bardzo ciasnego światka, kręcącego się koło uczy i dzbana, a nie umiejącego wziąć się korda nie wydaje się słusznym. Impreza bowiem — według niego — jest utworem czystej igraszki literackiej autora a „przypuszczenie, że przy powstaniu Milicerego odegrały rolę własne wspomnienia autora z przeżyć w partii powstańczej w 1683, nie ma wcale podstawy”. Impreza jest rzeczywiście podziwkiem czy literacką transpozycją sympozjonów grona przyjaciół, tak zwanego Collegium księcia Walji, grona do pewnego stopnia zamkniętego. O tem Collegium obszerniej piszę w życiorysie Dygasińskiego. Jest to obraz pewnego rodzaju „pozytywistycznej cyganerii”. Ci pozytywiści byli także i cyganami. Typowym okazem — moji ojciec. Ale tem nie mniej nie podzielałabym kategorię poglądu prof.

*) Nap. Milicer (1842 — 1905), najpierw preparator chemii w Szkole Głównej, później, jako znany inżynier-chemik, od 1876 kierownik pracowni chem. Muzeum przemysłu i rolnictwa; Zyg. Chelmiński znany ze swego talentu literackiego, przed śmiercią piastował urząd sekretarza Rady Rejencyjnej. Lubowski literat, Lilpop, z rodziny brzemysłowców, Olendzki — dziennikarz partii neokonserwatywnej, typ prawdziwie sarmacki, niezwykłe dowcipny faworyt; Niedźwiedzki — wówczas t. zw. król węgłowy w Warszawie. Dr. Józef Peszke, świetny lekarz i znakomity znawca literatury starożytnej i historii obyczajów. Szczery ten przyjaciel ojca mego posiadał nie nieraz na wieś odpisy własnoręcznie z książek starych, jak Alexego Pedematana „Tajemnice” (1620), „Oekonomia albo porządek zabaw ziemianskich” (1643) Jeżowskiego, „Discours marnotracstwa i zbytku Korony polskiej” przez Krz. Fr. Falobogowskiego (1625) i wiele innych, w których ojciec rozczytywał się, pisząc „Imprezę”. Niech mi tu wolno będzie przypomnieć, że ten lekarz i zarazem humanista o wielkiej wiedzy, jest autorem głębokiego i prześlicznego studium o doktorze Władysławie Matlakowskim. Studium to o tym niepospolitym, a dziś niestety zupełnie zapomnianym człowiekiem, umieszczone jest w książce W. Matlakowskiego, wydanej już po jego śmierci („Zdobnictwo i sprzęt ludu polskiego na Podhalu, zarys życia ludowego”. Warszawa, 1901, str. 175, tabl. 65). Lekarz — Matlakowski, tłumacz Hamleta, jest też autorem najobszerniejszego i najgłębszego bodaj studium o Hamlecie, jakie się w języku polskim ukazało (Kraków 1894!). Pełno w nim rozrzuconych myśli pięknych i głębokich o literaturze. Ułożył się do snu wiecznego Matlakowski, a z nim dzieło jego: na terenie literatury, sztuki i etnografii. A któż wspomni o dr. Józefie Peszkiem, naprawdę umyśle niepospolitym!

Bielaka i skłonna jestem mniemać, że w „Imprezie” odbiły się i reminiscencje powstania r. 63. Oto bowiem Piotr Chmielowski, jeden z przyjaciół mego ojca a także jeden z bohaterów „Imprezy”, no i collegiatus we wspomnieniu pozgonnym o moim ojcu, zamieszczonym w „Gazecie Polskiej” pisze: „kursu nauk akademickich nie odbywał jednym ciągiem; musiał je przerwać, by wziąć udział w zupełnie innych sprawach, które po latach wielu z takim humorem w książce przyjaciółom poświęconej, opowiedział i odmalował”. Te inne sprawy, o których tak ostrożnie pod okiem cenzury rosyjskiej pisał Chmielowski, to właśnie powstanie roku 1683. „Impreza wojenna Milicerego”, tego, który w powstaniu również brał udział, ale w stronnictwie „białych”, to nietylko czysta igraszka pióra, o genezie zupełnie literackiej, ale też i bodaj jedyne w owym czasie beletrystyczne wspomnienie roku 1683. Rzucone na tło siedemnastowiecza, są tu kunsztownie splecione dwa wątki: jeden — powstaniowy, drugi — mający swe źródło w Bohemie owocniejszej. Dzięki temu utwór osiągnął harmonię stylu, robi wrażenie igraszki literackiej, a jest zapewne realistycznym odbiciem wspomnienia.

Uwidocznia się to i w drugim utworze, który ojciec mój napisał w następnym zaraz roku, nadając mu tytuł „Gwałt na Turka, w Kielcach uczyniony, i Bóg wie co za przyczyny poczytywał rycerskich ludzi”. Rękopis zawiera 99 stron, formatu 13,5 x 21 cm. Akcja toczy się w roku 1683 i utwór jest pisany oczywiście prozą tego okresu. Ale bohaterzy w tym utworze występujący to znów przyjaciele kieleccy Dygasińskiego. A więc: Skłodowski ze Stawiszyc, stryj Curie-Skłodowskiej, Duninowie (z których jeden słynny adwokat, drugi znakomity lekarz); Wyszkowscy, jego szwagrowie, Rybarscy, Kujawscy, Truskolaski, spokrewniony z żoną i wielu innych. W przedmowie swej pisze Dygasiński: „...Nie przeto wypuszczam w świat to opus swoje miszerne, iżbym rozślawił łaknął nicowany łachman własnej próżności, w czarnym kałamarzu poszukując chwały; jedno że pragnę ocalić od niepamięci u potomnych godne pamięci imiona współczesników, cordialiter spowinowacanych z mną braterstwem. Niezapisane bowiem czyny rodzaju ludzkiego są istne dzbany bez trunku, abo — lepiej mówiąc — ciała bez duszy: byt ich znio, cale śmiertelny, do cna przemija i do cna w ludzkiej pamięci ginie...” Otóż „Gwałt na Turka” stanowi pendant „Imprezy”. Że jego geneza nie jest czysto literacka, nadmienia i sam autor w przedmowie, a nadto utwór zaczyna się następującym zdaniem: „Było to od chwalebego wcielenia Syna Bożego 1683 lata...” Utwór w czasie przeniesiony o dwa wieki wstecz, ale symbolika tej daty (przesławione cyfry środkowe), jak i treść są zbyt przejrzyste i jasno mówią, iż owe dramatis personae są czynne w czasie powstania.

Utwór ten miał być również drukowany w 25 numerowanych egzemplarzach dla przyjaciół, biorących udział w perypetjach opisanych w „Gwałcie”. Ukazał się miał w takiej samej szacie graficznej, jak „Impreza”. Ale dla czego nie został wydrukowany, nie wiem.

Oba te nieznanne utwory stanowią prawdziwą niespodziankę dla historyków literatury i krytyków, zwłaszcza tych, co wydają się dy według ustalonych szablonów. Proza Dygasińskiego, utrzymana w stylu siedemnastego wieku, jakże jest tu inna od języka Dramatów lubadzskich, Nowych tajemnic Warszawy, Piszczalskiego, czy poetyckich Dębów lub Godów życia.

Z przytoczonego na chybił trafił urywku z „Gwałtu na Turka” czytelnik spostrzeże, jak żywe, jak aktualne jest to, co pisał Dygasiński.

„Ano po tych żelaznych niespokojnego Gradywa chwilach nastaly w Kielcach złote czasy pokoju, a nasi heroes obmyslali teraz inne sposoby, aby czynić dobro uniwersalne i przyczynić do fortuny ojczyźnie, tej wszystkich nas piastującej na swoim łonie matce. Boć wiadomo, że fortuna bellianiceps, miasto tryumfów i zwycięstw, hańbę częściej daje; uciżone zasie morze świętego pokoju nieba pogodę w sobie odbija. Antonius Pius, nad wojnę pokój przekładając, mówił: „...Wolę jednego obywatela zachować, niż stu nieprzyjaciół zabić”. I prawda; wždy latorośl oliwna przy ogniu usycha. — Niech innym narodom żelazo będzie ochroną — są słowa pana Józefa Dunina — dla nas consilium sanum — vita patriae”. Archimedes zapytany razu pewnego, koby był rządcą miasta spartańskiego, odrzekł: „Prawa”. I Kielce bardziej niż cudnie

podobne były do onego spartańskiego grodu, iż mnogich miały juriconsultów. Prawa same jedne są jak pajęczyna, bąk się przewinie, a na muchę wina. Cóż prawa wskóraj, gdy w narodzie brakuje ludzi uważnych, poważnych i odważnych, to jest cnotliwych i mądrych? A jeżeli mądrość, cnota nie ze szkół pochodzą? Czego wojska dokazać nie mogą, tego mądre, w naukach ćwiczone głowy bez krwi rozlewu, bez szkody i ruiny w miastach dokazują. Jedno naprzód trzeba się starać, żeby były dzieci; i na chuci k'temu nie zbywało Kielczanom, nie mówiąc o takich, którzy, na boku sobie wdzięczną niwę upatrzywszy, zasiewki tam swego rodu czynili. Ale ani prawa, ani mądrych a cnotliwi ludzie, ani dostatek dzieci, ani szkoły nic nie pomogą, gdy ludzie nie mają dobrych sposobów wyżywienia siebie i swego płodu.

Owa, pierwszą kondycją żywienia człowieka jest agrykultura, później zasie — handel, manufaktury różne, rzemiosła, kunszt, zaopatrujące panów, magistraty i osoby duchowne we wszystkie rzeczy potrzebne. O to nikt z mną w kontr nie pójdzie pewnie...”

Pisane to było akurat lat temu — czterdzieści! A jak przecie żywe, do dzisiaj.

5.

Na parę lat przed śmiercią ojciec mój powziął zamiar napisania większej pracy o życiu i literaturze. Miał poruszać takie tematy, jak: literatura, dziennikarstwo, autor, krytyk, czytelnik, książka, wydawca. Nie wiem czy miało to być studjum w rodzaju: Społeczeństwo nasze w dramacie. Myśli luźne o postępie i konserwatyzmie, Narzeczeniu, małżonkowie i dzieci, W niewoli u człowieka (Nędzarze życia), a więc takie, jakie pisywał różnymi czasami, czy też wyrzłoby się to w jakiejś satyrze, jak np. Wędrówki do Erebie; dość że przygotowywał sobie materiał, spisując różne myśli, które mu przychodziły do głowy na ten temat. Pracy tej jednak nie zdążył ukończyć przed śmiercią. Pozostały tylko ponotowane przezeń poszczególne kwestje, raczej uwagi o charakterze aforystycznym. Są one tak skondensowane, że stanowią niejako przewodnie myśli rozdziałów. Te zapiski uporządkowałam według tematów. Część z nich czytelnik znajdzie na innym miejscu w „Pionie”.

NA ŁAMACH PRASY

OPERA BEZ SUBWENCYJ

Ciężkie położenie sztuki operowej w Polsce, wywołane brakiem dostatecznych subwencji i dobrej organizacji, jest regułą, która posiada swój wyjątek. Tym wyjątkiem jest opera krakowska, pracująca bez własnego gmachu (korzysta z gościnny w gmachu teatru dramatycznego), bez subwencji i stojąca na dość wysokim poziomie.

O działalności tej opery informuje obszernie w entuzjastycznym artykule p. J. Zbr. p. t. „Tam, gdzie się spala w święty ogień prawdziwa sztuka” (I. K. C.), charakteryzując tę wyjątkową na naszym gruncie placówkę o charakterze społecznym jako „placówkę operową, pracującą z olbrzymim kapitałem... zapalu”.

CICHY JUBILEUSZ

Katowicka „Polonia” przypomina, że w roku bieżącym mija pięćdziesiąt lat od chwili wydania „Quo Vadis” Henryka Sienkiewicza, a więc daty niezmiernie doniosłej dla europejskiego znaczenia literatury polskiej.

Jednocześnie przytacza p. T. B. Syga w artykule p. t. „Anarchja na rynku wydawniczym” na łamach Kurjera Poznańskiego fakt wydania „Quo Vadis” w przeróbce dla młodzieży przez niemiecką „Księgarnię nakładową E. Bantelsa, Brl. Weissensee” w szacie urągającej dobremu smakowi, z podpisami pod ilustracjami zredagowanymi w polszczyźnie pełnej błędów i logicznych absurdów.

EXODUS ARTYSTÓW KRAKOWSKICH

Zanim akcja „Związku Zawodowego Plastyków” stworzenia jednolitego związku dla wszystkich plastyków Rzeczypospolitej weszła na tory realizacji, prasa donosi już o powstaniu nowej organizacji centralnej plastyków, odróżniającej się od Związku Zawodowego nazwą „Blok”. Byłoby to raczej dowodem zdrowej akcji, dowodzącej, że zmierzamy do skoncentrowania artystów plastyków w dwu czy trzech wielkich zrzeszeniach, gdyby jednocześnie nie działy się fakty, które świadczą o głębokim rozłamie nurtującym wśród plastyków i powodującym coraz to nowe zadrażnienia.

W Krakowie otwarto, jak wiadomo, pierwszy ogólnopolski Salon, który odbywać się ma coroku w innym mieście (w roku 1935 — w Wilnie). Salon ten zainicjował walny zjazd plastyków przed trzema laty. Uzyskał on silne i zdecydowane poparcie Ministerstwa Oświaty i sympatji całej opinii.

Tymczasem przydzielenie nagród, dość

6.

Rękopisu sztuki dramatycznej pod tytułem „Szwagrowie” niestety nie posiadam i nie wiem, co się z nim stało. Dramat chłopski „Szwagrowie” był grany w teatryku Eldorado w Warszawie przez wędrowną i doskonałą trupę Łaskiego. W niedługim czasie, bodaj tego samego lata w tym samym teatryku ojciec wystawił drugą sztukę „Narzeczoną z Ojcową”, o której jeden z krytyków powiedział, że ta komedia jest „obrazem malowanym w słońcu”. Premiera „Narzeczonej z Ojcową” odbyła się 8 września 1891. W sprawozdaniu z tej sztuki Gabriel Kempner pisał (Przeгляд Tygodniowy, Nr. 37, z 12 września 1891): „Na pierwszy utwór Dygasińskiego czekaliśmy długo. Zato z bezprzykładną w dziejach twórczości dramatycznej szybkością po „Szwagrowach” zobaczyliśmy — „Narzeczoną z Ojcową”.

Z tego wnioskuję, że „Szwagrowie” byli zapewne wystawieni tego samego lata. „Narzeczoną z Ojcową” była przyjęta bardzo przychylnie i cieszyła się powodzeniem, sądzić można, iż „Szwagrowie” — również, skoro ojcu wystawiono w ciągu niedługiego czasu dwie sztuki bezpośrednio jedną po drugiej. Krytyk pisze, że od czasu napisania „Szwagrowów” widoczny jest postęp techniczny, zaś „Narzeczoną z Ojcową” budzi zainteresowanie w widzu od pierwszego aktu. Autor z nieskomplikowanego materiału stworzył znakomity obraz życia ludowego, tryskający prawdą obserwacji, autor zna scenę, potrzeby publiczności i strzeże się manjery i szablonu. Postaci imponują swoją psychologią, każda z nich jest skończonym człowiekiem, a są to figury nowe. (G. Kempner, tamże). Z tradycji domowej wiem, że i „Szwagrowie” cieszyli się powodzeniem. Rolę tytułową grała p. Łaska. Rękopis „Szwagrowów” miała trupa p. Łaskiego i jeździła z tą sztuką jakoteż i z „Narzeczoną” po prowincji. „Narzeczoną z Ojcową” w kilka lat później ukazała się drukiem; natomiast rękopis „Szwagrowów” gdzieś przepadł, zawieszony przez tę trupę aktorską.

Mало kto wie ze starszego nawet pokolenia, że Dygasiński napisał dwie sztuki, i że były one wystawione w teatrze.

pokaźnych, prawie wyłącznie profesorom krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, jak również sposób zestawienia jury i urzędowania samego Salonu dało asumpt do gwałtownego wystąpienia grupy artystów plastyków, którzy, w liczbie 32 osób, wkroczyli do gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i wynieśli stamtąd manifestacyjnie swe obrazy. Szereg pism (np. Kurjer Lwowski) podało odezwę tych frondujących artystów, inne zaś organy prasy (np. I. K. C.) oświetliły ten fakt dla artystów protestujących nieprzychylnie.

Od dłuższego czasu Kraków jest terenem gwałtownych starć pomiędzy dwoma obozami plastycznymi. To szczególne nasilenie antagonizmów zbiega się z idącymi z różnych stron usiłowaniami o charakterze organizacyjnym. Co zwycięży — czy myśl konstruktywna, czy temperamenta odśrodkowe — pozakaże przyszłość najbliższa.

PRASA BAWI SIĘ W TEATR

Z niewątpliwym uszczerbkiem dla innych tematów części prasy warszawskiej i pozawarszawskiej zajmuje się niezmiernie żywo wypadkami w naszym życiu teatralnym. Zamiast jednak podawać niezawsze efektywne, lecz prawdziwe fakty, szpalty tej prasy zalewają potok najbardziej nieprawdopodobnych plotek, insynuacji i domysłów. Trudnoby poprostu przeczytać to wszystko, co dzień w dzień wyrzucają na ten temat maszyny rotacyjne.

Spory o emerytów b. teatrów miejskich, prowadzone najżywiej i ze zwykłą dla informacyj z życia artystycznego w „A B C” niesumiennością, gruntuwane na fałszywym oświetleniu faktów niewątpliwie słusznych i pożytecznych, dochodzą do tak demagogicznych przewidywań, jakoby najlepsi artyści sceny polskiej mieli być odsunięci od pracy w teatrze, a np. mistrz Solski miał „przymierać głodem”.

Jest w tej perspektywie dla znakomitego artysty oczywiście tyle prawdy co w przezbawnej notatce, pomieszczonej w Wieczorze Warszawskim o konflikcie pomiędzy prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego gen. Góreckim a wiceprezesem tego Banku min. Starzyńskim na tle pomocy finansowej dla teatrów T. K. K. T. P. Min. Starzyński akurat bawi od dwu już tygodni na urlopie, p. prezes Górecki zaś już choćby dlatego jest z pewnością dobrze usposobiony dla teatrów T. K. K. T., że nie są one jego Bankowi, jak zresztą żadnej instytucji kredytowej winne ani grosza.

KSIĘGA JUBILEUSZOWA KU CZCI PROF. ZDZIECHOWSKIEGO

Po niemiecku to się nazywa Festschrift. Profesor obchodził jubileusz, a grono jego kolegów i wybitniejszych uczniów czciło tę datę, wydając zbiorowe grube tomisko, zawierające rozprawy zazwyczaj dla czytelnika z poza klanu specjalistów niejadalne. Tem „zdobi” naturalnie podobizna jubilara. Takie Festschrifty zawierały nieraz prace cenne, ale zwykle tonęły w mrokach bibliotek profesorskich. Oko „zwykłego” czytelnika ich nie dosięgało. Czulo się w nich ów jubileuszowo-holdowniczy nastrój, zmieszany z profesorską pedanterią, który czytelnikowi apetytu nie dodaje.

Kiedy wziąłem do ręki księgę jubileuszową wydaną ku czci naszego znakomitego uczonego, prof. Marjana Zdziechowskiego („Z zagadnień kulturalno-literackich Wschodu i Zachodu Nr. IV”), zobaczyłem już przy jej pobieżnym przejrzaniu, że należy do zupełnie innej rodziny książek, niż niemieckie Festschrifty; że to układała ręka nie tylko uczonego, ale i człowieka z tym nieuchwytnym spólczynikiem każdej prawdziwej wiedzy, warunkującym jej wartość, jej wagę życiową — który nazwijmy po prostu kulturą.

Już na pierwszych stronach, obok ścisłego a bardzo zajmującego napisanego studium Lednickiego o Zdziechowskim jako rusyście, znajduję artykuł p. Laberthonniere p. t. „De la contrainte dans l'Eglise”. Wpadamy w ton żywej dyskusji społeczno-religijnej; natrafiamy na temat, który każdego, kto żyje w wymiarze rzeczywistości obchodzi: jedno z fundamentalnych zagadnień z pogranicza etyki, prawa i teologii — czy Kościół ma prawo stosować przemoc dla osiągnięcia swych celów. P. Laberthonniere rozważa sprawę wielostronnie, zapatrując ją w liczne i rzeczowe komentarze, dochodzi wreszcie do wniosku, że nie ma podstawy twierdzić, iżby Kościół odwrócił się od zasady stosowania przemocy w sprawowaniu rządów nad swymi wiernymi. I zajmujący temat i śmiałe jego ujęcie zasługują na uwagę. Mamy tu przecie do czynienia z kwestją fundamentalną, o znaczeniu wcale nie teoretycznym.

Nietylko jednak Laberthonniere reprezentuje dyskusję na tematy religijne. Znajdujemy również rozprawę D. Merezkowskiego po rosyjsku p. t. „Czy istniał Chrystus?” I tu znowu uderza autor w temat żywy, wobec którego wierzący czy ateusz nie przejdzie obojętnie.

Znana to rzecz, że jedną z metod podkopania wiary jest rozpowszechnianie poglądu o niehistoryczności Chrystusa. Bądźmy zresztą sprawiedliwi: hipoteza ta ma swe źródła niezawsze w nienawiści do chrześcijaństwa, może ona również dobrze opierać się na pewnych wywodach historyczno-psychologicznych! Dla niespecjalisty ciekawe są w rozprawie Merezkowskiego pewne uwagi ogólne, charakteryzujące ducha współczesnego scjentyzmu.

Merezkowski wychodzi z założenia, że teza o niehistoryczności Chrystusa opiera się na krótkowzrocznym zagrzebaniu się w szczegółach, bez uwzględnienia pewnych prawd prostych, dostępnych każdemu z obserwacji życiowej. Już to scjentyzm właśnie polega na bezkrytycznej, nieraz sprzecznej z rozsądkiem wierze w szpargał, w dokument, bez prostego ustosunkowania się do zagadnienia jako do pewnej całości. W wypadku naszych, teza o niehistoryczności Chrystusa opiera się z jednej strony na kwestjonowaniu dokumentów, stwierdzających jego historyczność; z drugiej na przypuszczeniu, że „mit” o Chrystusie jest kompilacją innych dawniejszych mitów, Ewangelja zaś książką opisującą nam imaginacyjny żywot tej fantastycznej postaci Chrystusa — jako wypadkowej skomasywanych mitów.

Przeciw tej hipotezie powstaje Merezkowski z całą energią. Mogła ona wyłączyć tylko w umyśle pozbawionym wyobraźni nie tylko literackiej, ale i życiowej. „Dla każdego kto ma historyczne wejrzenie na rzeczy, — pisze Merezkowski — kto ma oczy, uszy, smak, ponownie i dotyk, jest nieskończenie bardziej prawdopodobne, że

Chrystus żył w istocie, że to jedyne w świecie zjawisko, któremu na imię Chrystus istniało w rzeczywistości — niż że jest ono wymysłem, wysnutym z niczego, i że jacyś nieznani a przebiegli oszukańcy lub oszukani głupcy stworzyli coś, równie rzeczywistego jak system Kopernika, ale nieskończenie głębiej przetwarzające świat duchowy człowieka, niż ów system ciał niebieskich”. I dalej: „Któż, prócz samego Jezusa, mógł stworzyć Jezusa? Gmina prostaków, ludzi wiejskich i niepiśmiennych? To nieprawdopodobne, ale jeszcze nieprawdopodobniejsze, aby postać najbardziej żywą jaką zna ludzkość, powstała z elementów mitologicznych, w retorcji ówczesnych filozofów”.

Nie mogę zabierać głosu w sprawie krytyki tekstów historycznych, które zdaniem Merezkowskiego zgodnie historyczność Chrystusa potwierdzają. Być może, że wypadła ona zbyt dla tezy optymistycznej i że optymizm niezawsze jest usprawiedliwiony. Chciałem zwrócić uwagę na inną stronę sprawy; to na to swobodne wejrzenie pisarza i człowieka. Na owo poczucie ciągłości, istniejącej pomiędzy zagadnieniem naukowym a życiem, a obserwacją, zmysłem psychologicznym. Tylko ta nauka, która nie zatraciła tych zdolności perspektywicznych, która umie się oderwać od dokumentu, aby na przedmiot swój spojrzeć z pewnego dystansu, ma zadatki żywotności i trwałości. Przypomnieć o tym zawsze warto.

Poza cytowanymi rozprawami mamy kilka pięknych sentencji filozoficznych, pióra takich uczonych jak np. Blondel, który zamieszcza w księdze krótki artykuł „Sur la pensée”.

Wymieniłyśmy też takie pozycje jak: jezuita Muckermanna „Gedanken über Polens europäische Aufgabe” gdzie autor silnie podkreśla przynależność naszą do kultury Zachodu; Romana Dyboskiego „Pierwiastki angielskie a pierwiastki polskie w umysłowości Conrada”, Lehr Splawińskiego: „Eurazja w oświetleniu językoznawczym”, Willman-Grabowskiego „O wielkiem wyrzeczeniu”. Omijam tu z szacunkiem innego typu rozprawy jak np. Iv. Levkova o tłumaczeniu bułgarskim „Pana Tadeusza”, jako zajmujące dla niewielu niestety, znających u nas język bułgarski i mogących ocenić należycie wywody autora. Prof. Waclaw Lednicki daje prócz wymienionej pracy o Zdziechowskim jeszcze dwa interesujące studia mianowicie o „Zamieci” Puszkina i „Gribojedow a Polska”. Prof. Pogodin wreszcie zamieszcza rozprawę o Polakach pisarzach rosyjskich, Bulharynie i Sienkowskim. Doskonały znawca naszej literatury, wybitny Mickiewiczolog rosyjski poświęca swą rozprawę kartom w naszych dziejach smutnym, zaznajamiając nas z działalnością dwu Polaków nie tylko zruszczonych, ale wchodzących do literatury wrogiego wówczas narodu pod sztandarem entuzjazmu dla caratu. Dotyczy to zwłaszcza Sienkowskiego, któremu jego zelatorstwo zresztą nie nawiele się przydało. Ta rozprawa choć przypomina sprawy dla nas bolesne, słusznie jednak znalazła się w księdze ku czci Zdziechowskiego. Jej obecność świadczy niejako symbolicznie o tem, że Polskę dzisiejszą stać na spokojne i obiektywne studjum całych jej dziejów, nie wyłączając kart, które w naszej pamięci zapisały się czarnymi głoskami.

Oczywiście księga, zawierająca tyle bogatego materiału zasługuje na znacznie obszerniejsze i szczegółowsze omówienie. Nie kusilem się tu o wyczerpanie tego materiału. Chodziło mi o zwrócenie uwagi na pewną szczególną cechę tej księgi, na ów europejski w najlepszym słowa znaczeniu poziom wydawnictwa, łączący jako cechy naczelne, ścisłość naukową, rozległość horyzontów z inteligentnym swobodnym stosunkiem do poruszanych tematów, równie dalekim dylentantyzmu jak oschłej pedanterji. Profesor Lednicki nie tylko jako autor i uczyony, ale również jako redaktor zabył sną prawdziwym talentem.

J. E. S.

NOWE POEZJE

Roman Brandstaetter. Królestwo trzeciej świątyni. Warszawa 1934.

Przyjemnie jest słyszeć z ust przedstawiciela narodu, który znalazł schron na naszej ziemi i od wieków współżyje z jej gospodarzami, pochwałę przybranej ojczyzny, wyrażoną w dodatku pięknym słowem poetyckim w języku tej przybranej ojczyzny. Powinno to świadczyć o zupełnym zasymilowaniu się autora tej pochwały. Powszechnie uważa się, że przyjęcie języka i kultury danego narodu wskazuje na przyjęcie członkostwa tego narodu, na wynarodowienie się. Tomik Brandstaettera wskazuje, że kryterjum przyjęcia języka i kultury, — a więc wszystkiego, co stanowi o przynależności narodowej danej jednostki i o budowie całej jej psychiki, nie jest jeszcze świadectwem wynarodowienia się. Wiodocnie nacjonalizm żydowski, szerczący się w sferach naszej zasymilowanej inteligencji, posiada jeszcze jakąś cechę, która sprawia, że jednostki nawet b. mocno zrosnięte z kulturą polską wyrzekają się jej, aby zacząć budować nową kulturę żydowską we własnym państwie. Przeczytanie nowego tomu wierszy Brandstaettera, „Królestwo trzeciej świątyni”, i zastanowienie się nad jego zawartością skłania mnie do postawienia hipotezy (już słyszę krzyki protestu, ale zastrzegam się, że nie jestem rasistą), że tą cechą jest poczucie przynależności rasowej. Przykład Brandstaettera jest o tyle miarodajny, że ten swoisty, rasistyczny punkt widzenia daje się wyczuć może wbrew woli autora, wbrew jego chęciom i zamiarom. A jednak... Może gwałtowna reakcja przeciw świętym krzywdom, doznany od narodu niemieckiego, przeciwstawianie się i zwalczanie teorii rasistowskich — wydoszły na światło dzienne składniki rasowego ustosunkowania się do pewnych zagadnień. Ten swoisty rasizm daje się odczuć i w enuncjacjach antyrasistycznych wielu przedstawicieli żydostwa, ale jest on starannie maskowany intelektualizmem i spychany do sfery podświadomości. Tem wyraźniej wybijają się tam, gdzie dochodzi do głosu uczucie. Właśnie na utworach Brandstaettera możemy badać te składniki rasowego patrzenia na świat.

W pierwszych wierszach swego nowego tomu opisuje autor budzenie się w nim nacjonalizmu żydowskiego.

„A od tej chwili znajdę spokój w srebrnej
mowie,
Boleścią mych praociców i ich krwią drgającej,
I cieniem mnie owieje niepolskie sitowie.
Ni zasmućą brzoziń, ni wlochatę kłączę (?).
Lecz nagle się ulotni parny oddech knici,
Jak z palców nieostrożnych rozstarta woń
róży,
Gdy pod gwiazdną kopułą białej Galilei
Uczuję śmierć, rosnącą w mej żydowskiej
duszy”^{*)}.

Duma, jaka budzi się w pocie po pełnym uświadomieniu sobie swej przynależności narodowej, ma cechy już nie narodowej, lecz jakiejś rasowej pychy:

„Dopiero w mojem grzesznie ciele dojrzała
ona (ojczyzna), po tysiącach lat,
I wypelnila mnie po brzegi serdeczną krwią,
I dymi we mnie trzynastoma kadzidłami,
I śpiewa objęta siedmioma ramionami
świecznika”^{*)}.

Więc chwała mi!
Chwała mojemu sercu, w którym ona tętni,
Chwała mojej szlachetnej krwi, w której ona
płynie,
Chwała moim pieśniom, w których ona śpiewa
i świeci”^{*)}.

Przywiązanie do polskiej ziemi, życie się z jej atmosferą, podkreślenie miłości do niej nie zmienia faktu, że w strofach o psalmodycznym charakterze, w których poeta błaga Boga o przywrócenie go ojczyźnie, brzmi znowu nuta rasowa.

„Przeto mnie Panie wyprowadź z nad Wisły,
wiklin i topól,
Z najświętszych pól Podkarpacia, wśród których
świat ten ujrzałem.
...I pozwól mi znowu utonąć wzrokiem w oczyszczonych
błękitach...
...I zwróć mojej jasnej twarzy semickie rysy
Dawida,
Mym płuciom wichry pustyni, zaś wargom
hebrajską mowę.”

Bardzo dobre są wiersze Brandstaettera, w których maluje swój kult, przywiązanie do polskości i walkę, jaka toczy się w jego duszy przy przebijaniu się przez polskie nawarstwienie kulturalne ku kulturze swego narodu i nowej „trzeciej” ojczyzny. Może jeszcze lepsze są wiersze drugiego cyklu. Ale w nich jeszcze ostrzeżają się te składniki uczuciowe światopoglądu, budzące refleksję i sprzeciw, gdyż nie są zgodne z polskiem odczuwaniem świata, a które muszą nazwać rasowem.

Czy to będzie przekleństwo, rzucone na tych, którzy „nie uwierzą w państwo hebrajskie” (Do żyda); czy mająca w sobie coś z dzikiego pastwienia się nawet nad symbolem obcej kultury — дума z podporządkowania na swe usługi „lityry łacińskiej”:

„Lecz dziś, jak bezwolna lwica leżysz u moich stóp

Dziś w ciebie —
Wbijam włócznią zwycięstwa
I kładę na twoje pokonane, potężne ciało,
Siedmiogwiazdzisty sztandar królestwa żydowskiego”;

czy to będzie nawrót do judejskiej ideologii nienawiści i żądza odwetu za krzywdy doznane, wyrażona bardzo przejrzyście i bez obłonek:

„Lecz dziś oddal odemnie cierpliwość,
Wyrwij z mego serca umiłowanie, którem
chciałem zbawić świat.”

I wyrwij ze mnie miłość
I tchnij w moje serce, które dotychczas nigdy
nienawidziło^{*)}

Ogień odwetu...

Te niecierpliwe i chropawe słowa
...zamieć je w celne karabiny i noże!
(Psalm 1933);

czy charakterystyczny obraz zemsty Izraela nad krzywdzicielami:

„Wtedy moje juczne wielbłądy wejdą do
kraju obfitości,
Ludzie źli legną u moich stóp
I będą bić pokornie o progi moich domostw,
A mienie ich przypadnie w dziedzictwie
królestwu żydowskiemu.
(Mesjasz);

czy groźby rzucone pod adresem tych żydów, którzy „wiją się w ramionach smagłych madjanitek i w panicznej trwodze wsłuchują się w zgrzyt ostrzonej włóczni arcykapłana”: — wszystko to tchnie atmosferą chyba nie nacjonalizmu, ale prymitywnego, dzikiego, obcego naszemu odczuwaniu aż do wrogości, rasizmu. Przykłady, które przytoczyłem, może nie są najistotniejsze, ale to tylko cząstka tego, co można wyczytać u Brandstaettera. Nie jest usprawiedliwieniem fakt, że porównania są czerpane z biblii, że to trawestacja biblii, gdyż wybierał i czerpał człowiek współczesny, a mógł korzystać z innych obrazów i cytatów. A trzeba autorowi wierzyć, gdyż tylko mocne i szczere uczucie mogło się uwewnętrznić, w tych prostych, rytmicznych, jedynych i plastycznie obrazowanych wierszach. Autor nie obawiał się czerpania z biblii, gdyż właśnie siła wzruszenia pozwoliła na przetopienie materiału stamtąd wziętego w mocno działające utwory. Przytoczone przeze mnie urywki, choć poszarpane, świadczą dostatecznie o opanowaniu form wyrazu i wersyfikacji polskiej przez poetę. Ale nastawienie uczuciowe, jakie w jego wierszach się uzewnętrznia, musi budzić poważne zastrzeżenia. Cechy tego nastawienia pozwoliłem sobie nazwać rasowem, bo chyba nie są one właściwe w takim skupieniu i zestawieniu ani naszemu charakterowi narodowemu, ani żadnemu świadomemu sobie narodowi w ogóle.

Władysław Sebyła.

^{*)} Wyrażenie „nigdy nienawidziło” ma znaczenie „zawsze nienawidziło” — powinno być „nigdy nie nienawidziło”.

POWRÓT DO KRAJU

Gdy po czteroletnim pobycie na studiach zagranicą, pan Stanisław stanął przed obliczem swych stęsknionych rodziców, po przywitalnych uściskach matka Stacha spytała z przerażeniem: „Mój chłopcze, co się stało z twoją przesliczną czuprynką?”

Rzeczywiście, fryzura Stacha wyglądała rozpaczliwie. Silnie przeredzone włosy, pozlepiane w kosmyki, świadczyły o lojotoku i nadmiernym łupieżu.

„Ach mamo, to prawdziwe nieszczęście, — smutno odpowiedział Stach, — jak wiesz, zabrałem ze sobą parę flakonów „Vegetalu” marki Antiba, któreś przeczornie mi dopomogła. Pomaga on znakomicie przy układaniu fryzury, zabezpiecza włosy od łupieżu, i nadaje włosom miękkość i połysk. Po pewnym czasie zapasy moje się wyczerpały, a w miejscowych perfumeriach nie mogłem dostać żadnej tak dobrej wody kosmetycznej do włosów. Zwłaszcza, gdy w chwilach wolnych od pracy, zacząłem trenować się do zbliżających się zawodów, objawiło się u mnie w tak zastraszający sposób nadmierne pocenie głowy, swędzenie skóry i wypadanie włosów, że niejednokrotnie wstydzilem się poprostu wyjść na ulicę bez kapelusza, a najczęstsze nawet mycie głowy nic mi nie pomogło. Nie mogłem doczekać się chwili powrotu do Kraju, aby wreszcie was zobaczyć, no i zacząć znowu używać „Vegetalu” do pielęgnowania włosów”.

„No dobrze, — przerwała matka, — lecz prócz tego jednak musisz stosować przez czas dłuższy „Pilosan”, również twej ulubionej marki „Antiba”, który usunie łupież i lojotok, a stale pielęgnowanie włosów „Vegetalem” utrzyma je w należytytm porządku i wkrótce uczyni twą czuprynę jak dawniej bujną i ładną”.

PUBLICZNY EGZAMIN P. I. S. T.

Doroczne popisy abiturjentów warszawskiej szkoły dramatycznej są podwójnym egzaminem: kończących szkołę uczniów i samej uczelni. W tym roku sprawa przedstawia się nieco odmiennie: Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej jest w trakcie idącej etapami reorganizacji wewnętrznej, związanej ze zmianą charakteru uczelni i nowymi obowiązkami nałożonymi na szkołę, oraz w trakcie rozszerzania swej działalności, od roku bowiem otwarto w nim obok wydziału aktorskiego wydział reżyserski, który od jesieni będzie miał już dwa kursy. Dlatego też trudno coś powiedzieć o samej uczelni na podstawie dorocznego egzaminu — raczej ocenić można indywidualne wartości samych abiturjentów na przykładach, wziętych z Fredry, Shawa i Wilde'a i zademonstrowanych w niedzielę 10 b. m. na scenie Teatru Polskiego.

Młoda ekipa, która w tym roku opuszcza mury szkoły, bynajmniej nie należy do mniej interesujących. Jeżeli takie właśnie głosy czytało się w prasie, to jest to dowód dość krótkiej pamięci recenzentów, wyzbijających się w ten sposób skali porównawczej. Egzamin publiczny jest przede wszystkim egzaminem nerwów, pozatem praktyczna wiedza uczniów w szkole powstaje raczej elementami i nie może być całkowicie w szkole zementowana. To zementowanie dokonywa się dopiero w teatrze, w pracy nieefektywnej i praktycznej, tem się więc tłumaczy, że abiturjent po trzech latach nauki otrzymuje tylko świadectwo ukończenia Instytutu, natomiast dyplom może uzyskać dopiero po dwu latach pracy na scenie teatralnej.

Przewaga tegorocznej ekipy nad przeciętnymi ekipami lat ubiegłych polega na nielicznych lecz wyraźnie zaakcentowanych cechach o charakterze pozytywnym. Jak zawsze, kobiety górowały nad mężczyznami. Tak jest każdego roku, i dziwić to może tylko nieobeznanych z tem zagadnieniem, które wskazuje, że kobiety o wiele szybciej dojrzewają w szkole, natomiast dojrzewanie mężczyzn przypada raczej na pierwsze lata praktyki scenicznej. Otóż pomiędzy kobietami zauważyć było można kilka momentów wybitnie dodatnich: doskonale warunki zewnętrzne i wyrobienie p. Barszczewskiej, indywidualność artystyczną p. Adryczówny i niewątpliwy nerw sceniczny p. Brzezińskiej. Każda z tych wychowanki posiada takie czy inne braki i niedociągnięcia, o żadnej nie można jeszcze powiedzieć, czy będzie wybitnym nabytkiem dla teatru, ale każda z tych młodych abiturjentek zademonstrowała coś istotnego. A egzamin szkoły aktorskiej, znów w przeciwieństwie do poglądów wielu sprawozdawców, nie jest ważny ze względu na braki, lecz ze względu na zalety. Braków będzie zawsze bardzo dużo i o wyzbyciu się ich nie może być mowy w ciągu trzyletniego kursu — natomiast te roczniki nie dały żadnego rezultatu, które nie demonstrowały wyraźnych cech pozytywnych.

Otóż z takiego punktu widzenia p. Barszczewska jest wyraźnie obiecująca ze względu na swoją rasowo polską urodę, jakgdyby stworzoną na Amelję w „Mazepie” czy Anielę w „Słubach panienskich”. Ten typ urody jest najrzadszy i zarazem najpozytywniejszy — o wiele rzadszy i pozytywniejszy od typu „kobiety-wampa”. P. Adryczówna znów zademonstrowała w „Salome” coś również rzadkiego u początkującej aktorki — znamiona wyraźnie indywidualne, własny styl gry i dość już duże opanowanie techniczne. Wreszcie p. Brzezińska jako Eliza z

„Pygmaljona” Shawa pokazała rzecz również rzadką u początkujących — odwagę zupełnego pokazania się na scenie, ekspresję, swobodę gestu i mówienia, jednym słowem to, co w teatrze nazywa się „rozwiązaniem” postaci. Te trzy „kandydatki” mogą iść do teatru spokojnie, że tylko od ich usilnej i wytrwałej pracy będzie zależało, aby stały się czemś na scenie. To „czemś” oczywiście może być różnego stopnia. Ale zgadywać talenty na podstawie popisu czy pierwszych lat na scenie jest to zabawa bardzo nieinteresująca — prorocтва prawie nigdy się tu nie sprawdzają.

Z mężczyzn należałoby wymienić przede wszystkim p. Śródkę, kandydata do roli o namiętnym toku mówienia, oraz p. Borowskiego, zdaje się, niepozabawionego wyraźnych zadatków na aktora charakterystycznego. P. Kalinowicz chwilami rozgrzewał się jakgdyby na dowód, że i w nim tają się pewne możliwości.

O tych możliwościach w stosunku do wszystkich pozostałych bezpieczniej nie mówić — nie dawałi sobie właściwie rady z „Mężem i żoną”, o wiele lepiej natomiast szło im z „Pygmaljonem”, możliwości ich jednak przysłonięte są jeszcze tajemnicą, którą odsoni dopiero praktyka sceniczna.

Jedno wydaje się być pewne, że inowacja, polegająca na oddaniu fragmentów przeznaczonych na popis do reżyserji słuchaczom wydziału reżyserskiego, jest najzupełniej chybiona: nie pozwala bowiem taki popis ani ocenić pracy reżysera, ani lepiej przeniknąć możliwości aktora. Przeciż bardzo wybitni aktorzy, czasem u szczytu powodzenia, nie umiały sobie opracować roli bez reżysera wytrawnego i doświadczonego — jakież więc żądać tego od abiturjentów?

W. Z.

23-ci zeszyt „Niepodległości”

Ukazał się 23. zeszyt czasopisma „Niepodległości” (tomu IX. zeszyt 3) wydawnictwa Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski pod redakcją ministra Leona Wasilewskiego.

Zeszyt 23-ci zawiera w wstępie ciekawy artykuł dr. M. Złotorzyckiej „Antoni Berezowski i jego zamach na Aleksandra II”. Nieudany zamach wykonany w czasie rewii wojskowej w Paryżu 6 czerwca 1867 r., jak również proces, wzbudzały wówczas nie tylko we Francji i Polsce, ale i w całej Europie niesłychane zainteresowanie i sympatję dla szlachetnej, kryształowo idealowej postaci zamachowca i wogóle dla uciemiężonego narodu polskiego. Skazanie Berezowskiego na dożywotnie więzienie, a nie na karę śmierci, było przyczyną oziębienia się stosunków francusko-rosyjskich, a głośny proces stał się wielką demonstracją na rzecz interesów narodu polskiego, jego przyjaciół francuskich i włoskich. Artykuł dr. Złotorzyckiej napisany na podstawie źródeł archiwalnych i współczesnych sprawozdań prasowych, stanowi poważne studjum naukowe, a równocześnie, co niezbyt często da się powiedzieć o szkicach historycznych, opracowany został w niezwykle żywej i interesującej formie.

Dwa następne artykuły dotyczą czasów wojny światowej i zawierają wiele szczegółów z działalności P. O. W. Pierwszy: Klimka „Park amunicyjny Legionów Polskich w Łodzi” mówi o współpracy legionistów z peowiakami na terenie wsi Retkini i Srebrnej pod Łodzią, drugi — Ignacego Ziemiańskiego zawiera ciekawy „Zarys rozwoju P. O. W. w Zytomierzu”. Dział artykułów zamyka szkic dziejów niepodległościowej organizacji „Promień” działającej w czasie wojny w Petersburgu.

NA EKLANACH LISTY DO REDAKCJI

„PRZYGODA O POŁNOCY” (Europa)

Reżyser Wellman nie należy do rzędu wielkości znanych na całym świecie, jest jednak twórcą zdolnym i inteligentnym. Film „Przygoda o północy” świadczy najlepiej o klasie reżyserskiej Wellmana, a przedewszystkiem jest dowodem, że w epoce kina teatralnego można pozostać wiernym dawnym wzorom i zasadom i oprzeć dzieło filmowe nie na dialogach i efektach scenicznych, lecz na dynamicznej i odpowiednim montażu. „Przygoda o północy” jest utworem posiadającym doskonale tempo i wzorową konstrukcję, a szeregi ujęć fotograficznych montażowych zasługują na pochwałę. Nie jest to przebój, ani arcydzieło sztuki filmowej, ale wzorowo zrobiony film rozrywkowy, mogący służyć przykładem i krajowym dostawcom lekkiej filmowej strawy.

Scenariusz „Przygody o północy” jest blawy w założeniu, a podstawowy chwyt dramatyczny (kobieta ratuje ukochanego, narażając się na śmierć) niejednokrotnie był już używany w dramatach „gangsterskich”. Ujęcie jednak tego nieciekawego tematu jest bardzo pomysłowe, a forma wspomnień, niejednokrotnie już stosowana przez reżyserów filmowych, nabrała w dziele Wellmana rumieńców świeżości, ma swoją wymowę i jest interesująca. Reżyser potrafił wybrać z historii życia bohaterki momenty najbardziej charakterystyczne i zajmujące, a prztem istotne dla odtworzenia sylwetki psychicznej nieszczęśliwej ofiary bandyty. Jednocześnie forma filmowa tych wybranych momentów jest klasycznie poprawna, odpowiednie wygranie aktorów, świetna fotografia i dobra oprawa dźwiękowo-muzyczna dopełniają listę zalet. Zbyt dużo trzeba było cytować scen i fragmentów dla przykładu umiejętnej roboty reżyserskiej, poprzestaniemy więc na stwierdzeniu, że niema w „Przygodzie o północy” miejsc słabych lub zbędnych. Linja zostaje przez cały czas utrzymana.

Loretta Young grająca główną rolę jest aktorką o bardzo dobrych warunkach zewnętrznych i niepozabawioną talentu. Można było wprawdzie z roli „Midnight Mary” więcej wydobyć, ale kreacja Loretty Young jest niezła. Ricard Cortez papierowy, natomiast bardzo dobry Franchot Tone i charakterystyczna aktorka Una Merkel, grająca jedną z członkiń bandy.

„OTCHŁAŃ ŻYCIA” („Stylowy”)

Film reżyserji Jamesa Flooda należy do kategorii przebojów teatralno-psychologicznych, przeznaczonych dla Broadwayu i widzów filmowych z ośrodków miejskich. „Ochłania życia” na prowincję amerykańską nie pójdzie, za dużo w niej bowiem rozmówek poważnych, za dużo rozmyślań i analizy charakterów. Inna sprawa, że ta amerykańska psychologia, która może imponuje „wyższym 10 tysiącom” jest, jak na Europę, nieco prymitywna i papierowa, ale trudno się temu dziwić, nie każdy bowiem amerykański reżyser pochwalić się może kulturą, albo lepiej — intelektualnym wyrafinowaniem Luibitscha.

„Ochłania życia” poza swoją teatralnością, przejawiającą się tak w przesyceniu całości dialogami, jak i w konstrukcji scenicznej (wyraźny podział na akty), nie odznacza się niczem specjalnem — jest filmem idealnie przeciętnym, mającym tylko jedną poważną zaletę — doskonałych aktorów, a raczej — doskonałe aktorki. Jedną z nich, bohaterka filmu — Miriam Hopkins, znana jest dobrze warszawskiej publiczności, druga — Helen Mack to debiutantka, mająca zdaje się piękną przyszłość przed sobą. Bohaterka „Sztuki życia” gra w filmie Flooda subtelną i anemiczną duchowo panią, która lęka się życia, albo słuszniej — przeżyć. Dopiero nieprawdopodobne, typowo amerykańskie dramaty, budzą w lękliwej dziewczęcej sily i temperamentu życiowy. Sceny wahań, skrupułów i przebudzenia odegrała Miriam Hopkins koncertowo, błyszcząca zwłaszcza w dialogach, wypowiedzianych z przedziwną, jak na Hollywood, dystynkcją i kulturą. Helen Mack z małej roli kobiety silnej i zdecydowanej potrafiła wydobyć całą gamę akcentów mocnych i wstrząsających. Fryderik March i George Raft — tylko poprawni.

DRUGA ZONA GENERALA H. DĄBROWSKIEGO.

Szanowny Panie Redaktorze! W artykule p. t. *Kolebka czy kolyska*, przedstawiając stosunki rodzinne generała H. Dąbrowskiego, przed wejściem jego do służby polskiej, nadmienilem, że generał ożeniony był z Niemką Henryką Rahel. Następnie po przytoczeniu różnych wydarzeń, wspomniałem, że na łożu śmierci, polecił żonie, by żadnej łaski od obcego dworu nie przyjmowała.

Z tego zestawienia faktów wydawałoby się mogło, że polecenie owe na łożu śmierci, — dane było żonie Niemce.

P. Ambasador Chłapowski zechciał łaskawie zwrócić mi uwagę na tę niedokładność.

Uważam więc za potrzebne wyjaśnienie, że Dąbrowska z domu Rahel odumarla generała młodo. Po jej śmierci generał pojął za żonę Polkę Barbarę Chłapowską, dożgonną już towarzyszkę życia.

Okoliczność ta przeze mnie pominięta, ma jednak swą wymowę, na tle zasadniczej przemiany w życiu generała, gdy opuściwszy obcy kraj, w którym się wychował, umiał wzbudzić w sobie gorącą miłość ojczyzny — Polski. Stawszy się Polakiem, żony też szukał Polki, która niezaprzeczenie wpłynęła na zatarcie w życiu rodzinnem obcych naleciałości.

Tadeusz Kudliński.

O CHŁOPÓW W POLONISTYCE

Szanowny Panie Redaktorze! W imię celowości polemiki uprzejmie proszę o umieszczenie kilku następujących uwag w związku z artykułem p. Skińskiego p. t. „Krajowe Proletymity” w nr. 23 (36) „Pionu”.

W nr. 9 „Kamieny” przeciwstawiłem się tezie p. Skińskiego, jakoby główną przyczyną obniżenia poziomu historii literatury był „nawjazd chłopów” na tę dyscyplinę. Twierdziłem, że przytoczona teza nie da się uzasadnić przygodnymi obserwacjami wobec faktu, że czołwi przedstawiciele historii literatury nie pochodzą z warstw chłopskich. By ten sprzeciw nie był pustym słowem, przytoczyłem 30 nazwisk profesorów uniwersyteckich. W świetle tych nazwisk jasnym jest, że udział chłopów w studjach polonistycznych nie może być główną przyczyną zaniku talentów rekonstruktorskich wśród niechłopskich, prawie wyłącznie reprezentujących historję literatury. W każdym razie trudno uwierzyć, by kilkuset chłopów „galicyjskich” otumaniało kilkudziesięciu uczonych, pochodzących z innych warstw. I to do tego stopnia, że dziełom ich wyjątkowo towarzyszy inteligencja, jak twierdzi autor. Nie widzę nieścisłości, ani błędu logicznego, ani wadliwości metody w tak przeprowadzonym sprostowaniu.

W polemice z p. Skińskim starałem się być ścisłym i dokumentować swe sprzeciw, by nie były „rąbaniną w drwalni”. Toteż drwiące porównania do drwali czy drwala najmniej chyba pasują do tej polemiki, nie mówiąc już o tem, że tego rodzaju obrazowe „argumenty” chyba tezy p. Skińskiego nie ratują.

Wreszcie muszę sprostować poboczne nieporozumienie. P. Skiński uważa mnie za typowego polonistę. Oświadczam więc, że polonistą nigdy nie byłem.

Stanisław Czernik.

Ostrzeszów, 8 czerwca 1934 r.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

DENATURAT + KUCHENKA „EMES” + ŻELAZKO SPIRYT. „RUSTICUS” = LETNISKO BEZ KŁOPOTÓW GOSPODARSKICH

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
 Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
 Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świącicki Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Juljan Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10